№ 41 Warszawa, dnia 27 Września (9 Października) roku 1880.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

FRYDERYK SZOPEN.

przez

Sewerynę D.

(Dokończenie).

Wyjechał do Londynu. Z razu ożywiony zmianą miejsca, uczuł z wiosną powracające siły. Przedstawiony królowej, dał się słyszeć u dworu. Przyjęto go z zapałem. Nie mogąc oprzéć się naleganiom, odwiedzał świetne domy lordów; to życie salonowe, źle oddziałało na stan jego zdrowia. Lekarze zalecili spoczynek. Pospieszył do Szkocyi, tam przebywał chwilowo w zamku Stirling, otoczony opieką dwóch uczenic. Ale chłodne powietrze w górach, nie sprzyjało mu wcale; mgła ciągła budziła w nim najsmutniejsze myśli.

„Grałem na koncercie w Glasgowie, pisze do przyjaciela, bardzo jestem znużony. Oh! ta mgła niegodziwa! Z okna przy którem siedzę, roztacza się najcudniejszy widok na jezioro i góry, zamek leży w pośród pysznego parku, cóż stąd, mgła wszystko mi przysłania."

„Cały ranek jestem do niczego, donosi w innym liście, po obiedzie, gdy panie odejdą od stołu, muszę dwie godziny dosiadywać z panami, słuchać co mówią, przyglądać się jak piją. Nudzę są na śmierć radbym myśléć, nie mogę.

Idę nareszcie do salonu, zbieram energicznie wszystkie siły, bo każdy radby mnie posłyszéć. W końcu mój Daniel bierze mnie, zanosi do pokoju, rozbiera, kładzie w łóżko, tu wolno mi przecież odetchnąć. Nazajutrz powtarza się toż samo!"

Chory opuszcza nakoniec Szkocyą. W Londynie daje koncert na korzyść ubogich rodaków. Ostatni to koncert. Aktem miłosierdzia Szopen rozpoczął i zakończył artystyczny swój zawód.

Wrócił do Paryża w opłakanym stanie. Śmierć doktora Molin, w którym pokładał całą ufność, boleśnie go dotknęła. Przyjaciele Grzymała i Kwiatkowski, uczniowie Gutman i Franchhome otoczyli go najtkliwszem staraniem. Siły chorego widocznie gasły, chwile jego były już policzone. On sam wszelką stracił nadzieję; mówił spokojnie o śmierci, zdało się że jej pragnął. Wówczas to prosił aby go pogrzebano na cmentarzu Pére Lachaize, obok Belliniego, z którym ściśle był połączony, pragnął niemniej aby serce jego pochowano w Warszawie w kościele Świętokrzyzkim.

Starsza siostra Ludwika, uwiadomiona o niebezpieczeństwie, przybyła z mężem i córką, w pierwszych dniach października. Widok drogich sercu osób, nie mógł wskrzesić w nim gasnącego już życia, osłodził mu przynajmniej ostatnie chwile.

W dniu 15 października, cierpienia nagle się wzmogły; wieczorem przyjaciele otoczyli chorego. Między innymi przybyła pani Delfina Potocka. Szopen spostrzegłszy ją u wezgłowia obok siostry, prosił aby zaśpiewała jedną z ulubionych mu melodyi. Zalana łzami, odśpiewała hymn ze Stradelli.

Nazajutrz uczuł się lepiej, przyjął ostatnie Sakramenta z rąk dawnego przyjaciela, księdza Aleksandra Jałowickiego. Pobożny kapłan, opisał chwilę tę w rzewnym liście.

„Podałem, mówi on, Szopenowi Krzyż Zbawiciela. Łzy zabłysły mu w oku.

— Czy wierzysz? zapytałem.

— Wierzę! odszepnął cichym głosem.

— Czy wierzysz tak jak cię nauczyła matka?

— Tak jak mnie nauczyła matka! odpowiedział wyraźnie.

I z oczyma wlepionemi w krzyż, wyspowiadał grzechy, zalewając się łzami, potem przyjął Wiatyk, sam żądał ostatniego pomazania.

„Skonał w cztery dni potem, z głębokiem poddaniem się woli Bożej."

W kilka godzin po śmierci, oblicze jego dziwnie wypiękniało. Przyjaciele zasypali łoże kwiatami; przybrali zmarłego jak na koncert.

Pogrzeb odbył się 30 października 1849 r. w kościele ś-tej Magdaleny. Stosownie do ostatniej woli jego, odegrano Requiem Mozarta. Podczas egzekwi, pierwsi artyści wykonali sola, Majerber dyrygował orkiestrą. W chwili gdy trumnę wnoszono do kościoła, marsz żałobny utworu zmarłego, rozległ się pod sklepieniem obszernej bazyliki. Dreszcz przebiegł po obecnych, niejedno łkanie zlało się w chór z nieporównaną melodyą.

Gdy spuszczono trumnę do grobu, przyjaciele rzucili na nią tę garstkę polskiej ziemi, którą przed laty ośmnastu, młodzian zabrał z sobą na obczyznę. Przechowywał ją z miłością, w ostatnich dniach życia, prosił aby tą ziemią potrząśnięto martwe jego zwłoki.

Wkrótce potem, na wielkim cmentarzu paryzkim w tak zwanym zakątku poetów i artystów, w bliskości grobów Cherubinich, Belliniego, Böieldiego i Grotrego, stanął pomnik wykonany dłutem Clesingera. Medalion z kararyjskiego marmuru, zdobi płytę kamienną, poniżej wyryty napis: „Frydérykowi Szopen, przyjaciele." Muzyka w postaci niewiasty trzyma w ręku strzaskaną lirę.

Uczenica zmarłego panna Stirling, która do ostatnich chwil, otaczała mistrza swego opieką i staraniem, po śmierci jego nabyła wszystkie pozostałe po nim sprzęty i pamiątki; sprowadziła je do Szkocyi, urządziła z nich *Muzeum Szopena.* W kilka lat póżniej czując się sama bliską śmierci, przekazała ten skarb żyjącej wówczas jego matce. Z drogocennych tych pamiątek, nic dziś nie pozostało, ale pozostały po Szopenie skarby których czas zniweczyć nie zdoła, nieśmiertelne dzieło jego geniuszu.

Jako kompozytor Szopen jest twórcą szkoły romantycznej. Tem więcej godzien on uwielbienia, że zrywając więzy przyjętych w sztuce zasad, potęgując koloryt muzykalny nowemi kombinacyami harmonii, pełnemi akordami, wspaniałymi dyssonansami, pozostał jednak ściśle klasycznym, pod względem jasności myśli, wytworności formy i drobiazgowego wyrzeźbienia tak całości utworu jak najmniejszych szczegółów. Na drodze na którą wszedł, utrzymują kompetentni sędziowie, może on znaleźć naśladowców i szczęśliwych współzawodników, ale prześcignąć, nikt go nie potrafi, Rozpoczął on od tego, na czem zwykle kończą szkoły torujące sobie nowe ścieżki. Jeżeli w sonatach i koncertach walczyć z nim mogą o lepsze Heydn, Mozart, Bethowen, Mendelsohn, za to w Etudach, w Preludjach, a zwłaszcza w Nokturnach, Polonezach, Mazurkach, Balladach i Krakowiakach, nikt zrównać mu nie zdoła. Nie jest on jak Bethowen, dramaturgiem tytanicznych walk zrozpaczonej ludzkości, nie jest jak Mozart kornym piewcą wiary i nadziei, nie jest on jak Bach głębokim metafizykiem duszy ludzkiej, ani wesołym Trubadurem francuzkim jak Grotry i Auber, ale pozostaje zawsze samym sobą, jest kolejno każdym z tych mistrzów, bo wszystkie struny uczuć drgają w jego melodyach i zlewają się w jeden wspaniały akord. Jeżeli z jednej strony wiara, nadzieja, poczucie piękna w przyrodzie, porywają go złotem skrzydłem do nieskończonych wyżyn ideału, to z drugiej strony szlachetna jego dusza, współczująca niedolę bratnią, snuje z arfy natchnienia, łzy i skargi, rozpaczliwe klątwy i dźwięki pogrzebowe.

„W melodyach Szopena, mówi Liszt, kołyszą się wdzięcznie w powietrzu duchy lasów i jezior; tu rozkochane Sylfidy biją niecierpliwie w skrzydełka, tam wije się i kona z boleści, na myśl samą o wygnaniu, zrozpaczony Foskari.“

Liszt podziwia szczególniej polonezy i mazury; w pierwszych zachwyca go śmiałość rytmu, i niezrównana wytworność formy, w drugich świeżość i wdzięk ludowych melodyi, podniesionych do ideału geniuszem kompozytora.

„W duszy artysty, pisze Georges Sand, odbiły się wszystkie melodye, wszystkie harmonie i dyssonanse natury. Niektóre z jego utworów, to niby kryształowe zdroje ozłocone promieniem słońca. Ale słodki powiew tych dźwięków eterycznych głuszą częstokroć rozszalałe wichry i burze. Skowronek z radosną piosenką, łabędź kołyszący się swobodnie na fali, to tylko błyskawice światła i spokoju, na chmurnem niebie jego smętnego żywota!

Berlioz nazwał *Etudy* i *Preludya* Szopena, drogiemi perłami, wśród powodzi muzykalnych klejnotów, jakie zostawił światu. Niemcy uchylają czoło, w obec tych utworów, owianych szczeropolskim duchem; w jego Schersach, Balladach, Nokturnach, widzą mistrzowskie arcydzieła, podziwiają wspaniały ich styl, i dramatyczną siłę; dają im nazwę muzykalnych poematów.

Cudne piosenki, w liczbie szesnastu, osnute na melodyach narodowych, słusznie nazywa pan Karassowski skromnemi kwiatkami z naszych pól, których woń balsamiczna, rzeźwi i uspakaja serce.

Wyliczają zwykle siedmdziesiąt sześć, utworów Szopena, a to z powodu że wydawał w jednym zeszycie po dwa polonezy, po cztery lub pięć mazurków, po dwa lub trzy nokturna. Przyjmując nawet za dwa dzieła dwadzieścia cztery *etudy* i tyleż preludyi, a rozdzielając inne jak należy, dochodzimy do poważnej cyfry stu pięćdziesięciu utworów: sama ta liczba świadczy o twórczości tego nieśmiertelnego geniuszu.

Jeżeli kompozycye Szopena, tak porywają pięknością i oryginalnością, cóż powiedzieć o grze artysty. Na polu wykonania, odkrył on tajemnice i skarby nieznane w świecie muzykalnym, on to nauczył śpiewać na instrumencie, któremu odmawiano właśności uwydatniania melodyi: on to, za pomocą częstego a umiejętnego użycia pedału, nauczył przedłużać wybracyą strun, on pierwszy spotęgowanemi akordami i arpediami, nauczył wydobywać z klawiatury effekta orkiestralne. On swem fantastycznem *rallendantem*, *accelerandem*, subtelnem cieniowaniem, powiewnością uderzenia, zuchwałem *crescendem*, grzmiącem *fortissimem*, wskrzesił powtórnie do życia instrument, którym poczęto już gardzić w skutek gry prawidłowej, nazbyt monotonnej fortepianistów dawnej szkoły. Czem była ta jego mistrzowska gra, trudno dziś wypowiedzieć, ale to pewna że była ideałem wszechstronnej doskonałości. Kto słyszał Szopena w epoce jego chwały artystycznej, przed rozwinięciem się owej strasznej piersiowej choroby, ten wie dobrze, iż w ustępach namiętnych, dramatycznych, rozwijał nieporównaną siłę męzką, że struny w grzmiącym *fortissimie*, jęczały pod jego palcami. Mylnem jest zdanie, jakoby wyłącznie górować miał cieniowaniem, perełkowatością uderzenia, i elegancyą w wykonaniu. Posiadał on wszystkie zalety artystyczne ale nie nadużywał żadnej.

W sprzeczności z wielką częścią sławnych muzyków, Szopen chętnie dawał lekcye, a dawał je z nieporównaną gorliwością, uczniom intelligentnym, utalentowanym i oswojonym z techniką fortepianową. Żądał pewnego wyrobienia w palcach, swobodnego mechanizmu, a za najlepszą drogę ku osiągnięciu tego ostatniego, uważał *Gradus ad Parnasum* Clementego, i gammy. których sam nigdy nie zaniedbywał. Przed każdym koncertem zamykał się w domu przez dni piętnaście, egzercytował palce etudami i fugami Bacha, sposobiąc je do doskonałego oddania innych kompozycyi.

Szopen, powtarzamy, z zamiłowaniem dawał lekcye, a jednak na kilka lat przed śmiercią, drażliwość jego nerwów do takiego doszła stopnia, że co chwila unosił się gniewem, rzucał nuty o ziemię, delikatną ręką łamał ołówki niekiedy nawet krzesła. Ale łza uczniów, rozbrajała go w oku mgnienia. Nie mógł ścierpieć ostrego uderzenia. „Jakiż to pies tam szczeka? wołał mistrz, który pieścił klawisze wiotkiemi palcami, jak miękim aksamitem.

Wielką była liczba jego uczenic: Angielki, Francuzki, Niemki, spieszyły do niego po naukę. Najchętniej przecież nauczał Polki, a potem Irlandki, w których upatrywał ścisłe z nimi powinowactwo ducha. Dwie utalentowane uczenice, księżna Marcelina Czartoryjska, i pani Dubois, z domu Irlandka Meara, strzegą jakby ognia świętego, tradycyi niezrównanego mistrza.

Między artystami których ukształcił, znani są w świecie muzykalnym, Gutman przebywający dziś we Włoszech, Węgier Filloch, Szwed Telefsen, który znalazł w Paryżu wielkie powodzenie jako wykonawca i kompozytor. Jerzy Matias, dziś jeszcze ceniony profesor paryzkiego konserwatoryum, wreszcie Edward Wolf, który acz nie brał systematycznie lekcyi od Szopena, zasilał się jego radami i wiernie przechował jego styl i metodę.

Jeżeli w polonezach i mazurach, Polacy najlepiej umieją przeniknąć się duchem genialnego kompozytora, artyści świata całego, studyują z zapałem jego utwory, występują z niemi na koncertach, i stawiają go obok najświetniejszych mistrzów przeszłości, na wysokim szczeblu, z którego żaden geniusz przyszłości nie zdoła strącić nieśmiertelnego Szopena.

Anioł młodości.

I znowu dni wiosny w piersi mej nastały,
Bo wszystko do pieśni mię woła,
Bo wszystkie rojenia młodości zuchwałej
Wracają z tryumfem do czoła.

A serce tak bije jak w lat mych zaraniu,
I usta wdzięcznemi brzmią słowy,
Na zwoje z róż, lilii w odludnem wygnaniu,
Zamienia się mój wieniec cierniowy.

To wiosna uczucia, ja słyszę jéj tchnienie,
Pieśń moja jest pieśnią miłości,
I oto nademną, jak wieszcze natchnienie,
Wzniósł skrzydła mój anioł młodości.

O! witam cię, witam, aniele mój biały,
W odludnej i głuchej ustroni,
Do kraju poezyi, pamiątek i chwały,
Ja z tobą polecę dłoń w dłoni.

Twe tchnienie majowe wionęło mi w lica,
Jam znowu natchniony i młody;
Zniknęła mi z czoła zadumy tęsknica,
A w duszy mej znowu są gody.

Hej lutnię mi w dłonie! a piosnki zadźwięczą
Rozgłośnie, ogniście i śmiele,
I wieńcem harmonii twe czoło uwieńczą,
Mój biały młodości aniele!

Autor pamiątek z Litwy.

PANI PODKANCLERZYNA.

opowiadanie historyczne

z czasów panowania Jana Kazimierza.

przez

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg).

W mieście ruch zwiększył się także. Panie które odebrały zaproszenie, biegały po kupcach, przesiadywały po kilka godzin w sklepach bławatnych. Na dworze nawet mówiono o wspaniałej uroczystości, którą za trzy dni ma zajaśnić dom marszałka nadwornego. Wszyscy byli w gorączkowem oczekiwaniu, pani Kazanowska siedząc w swej komnacie wydawała rozkazy. Tyzenhauz był często przywoływany, błogosławił tę ucztę która nastręczała mu sposobność częstszego widywania i rozmawiania z marszałkową. Panna Marta Hirszówna doglądała nad francymerem, który ciągle coś krajał, szył i prasował. Kucharze przyspasabiali pasztety i ciasta, cukiernicy dniem i nocą pracowali nad cukrowemi piramidami z amórkami pląsającemi lub strzelającemi z łuków strzałami miłości które wśród licznych sreber miały ubierać stoły. Tysiące rąk pracowało aby dogodzić zachceniom pani marszałkowej nadwornej.

— Już tylko parę dni zostawało do uczty, pani Kazanowska przymierzała suknie, dobierała klejnoty, gdy wszedł Tyzenhauz drżący ze wzruszenia i rzekł:

Hipaks przybył od księcia, ma list który chce sam wręczyć j. w. pani.

— Czegoś tak blady Tyzenhauzie? Czy co się stało we dworze?

— Nic nie wiem j. w. pani.

— Hipaks niech tu przyjdzie.

— Wkrótce ukazał się murzynek, wręczył list marszałkowej a sam zniknął, widać że miał rozkaz nie czekać na odpowiedź.

Na kopercie poznała pani Kazanowska pismo księcia, serce jej gwałtownie bić zaczęło, radość całą istotę owiała, uśmiech tryumfu osiadł na ustach; papuga ciągle wrzeszczała „Zwyciężysz“ a ona jej odrzekła z zapałem: „zwyciężyłam“. Rozerwała pieczęć i wyczytała te słowa:

„Niemogę przenieść na sobie, abym choć listownie nie pożegnał panią: interesa stanu wymagają, abym wyjechał za granicę, podróż moja będzie długa i wyznaję, że z tęsknionem sercem polecenie króla spełniam.“

Jan Kazimierz, książę Raciborski.

Pani Kazanowska ledwo miała siłę przystąpić do szkatułki i list w niej umieścić: przejście gwałtowne z radości do smutku, wstrząsło nią całą, i upadła zemdlona. Na ten hałas zbiegli się słudzy i przy wielkich usiłowaniach ledwo zdołano ją otrzeźwić. Ocucona zasłoniła twarz rękami i łzami się zalała, ale czułość nie była wcale cechą jej charakteru. Gniew poruszył gwałtownie odrętwiałe członki, poczęła miotać na otaczających zelżywemi słowy, rozerwała batystową chustkę, szarpała na sobie brabanckie koronki, i wypędziwszy wszystkich z komnaty, dostała list księcia i kilkakrotnie z uwagą go przeczytała. Zatopiona w domysłach usiłowała odgadnąć przyczynę tak nagłego wyjazdu. Najprzód posądzała królowę, iż zazdroszcząc jej wyrobiła u króla oddalenie księcia, lecz gdyby królowa żywiła jakie uczucia dla księcia, starałaby się na dworze go zatrzymać. Słowa kanclerzyny wymówione podczas wieczoru, gdy była u niej wraz z księciem, przychodziły jej na myśl, ale tłomaczyła sobie, że stara dewodka nie mogła inaczej postąpić, musiała stawać w obronie świętości małżeństwa, książę nie mógł tak gwałtownie się zmienić, wreszcie sam pisze, że wyjeżdża ze zbolałem sercem. Gubiła się w domysłach, gdy jedno podejrzenie najprawdopodobniejsze ustaliło jej przekonanie i zawołała z nowym wybuchem gniewu:

— Tak! to intryga mego męża, albo musiał prosić króla o oddalenie księcia, odegrawszy przed nim scenę nieszczęśliwego, zdradzonego męża, lub widząc w księciu rywala, wymówił mu dom, sprzeczka musiała być gorąca, kto wie, czy nie przyszło do jakiego skandalu, i książę po takiem zajściu musiał wyjechać z kraju. Tak! to mój mąż jest sprawcą moich cierpień.

Ugruntowawszy w sobie to przekonanie, myślała jakimby sposobem mogła zemstą zapłacić zawiedzione rachuby i nadzieje.

W pałacu prędko rozbiegła się wieść że marszałkowa zemdlała, że jest chorą, doszło to i do uszu pana Kazanowskiego. Strwożony szedł spiesznie do jej komnaty, lecz ze zdziwieniem ujrzał ją siedzącą na krześle bez żadnych śladów choroby na twarzy.

— Co ci było Anno? zapytał. Mówiono mi żeś zemdlała, możeby posłać po królewskiego doktora?

— I ty mnie się pytasz co mi było? odrzekła Marszałkowa, przyszedłeś jeszcze mi urągać?

— Nie rozumiem ciebie Anno.

— Podejrzliwość, niedorzeczna zazdrość twoja usnuła intrygę którą chciałeś mnie oczernić. Wiem wszystko, próżno byś się silił prawdę ubierać w kłamliwe słowa!

— Anno, jesteś w gorączce.

— Wiedz mości marszałku, że od tej chwili wszystko zerwane między nami, pozostało tylko w mem sercu jedno uczucie: uczucie zemsty i bądź pewnym że nigdy ci nie przebaczę! Idź z moich oczów, i czekaj owoców nienawiści i zemsty!

Pan Kazanowski wyszedł nic nie rzekłszy, pewnym był że żona w gorączce powiedziała bezmyślne słowa. Pobiegł do królewskiego zamku po doktora, aby marszałkowę odwiedził, lecz tam ze zdziwieniem dowiedział się o nagłym wyjeździe księcia Raciborskiego, domyślił się więc zkąd pochodzi rozdrażnienie żony, a posądzenie że on jest sprawcą tego, czyniła mu zrozumiałemi obelgi które na niego miotała. Zaniechał więc szukać rady doktora i zbolały, zmartwiony, wrócił do swego pałacu.

Tegoż samego dnia rozesłano od pani marszałkowej kilkaset zawiadomień do osób zaproszonych, iż dla słabości pani Kazanowskiej, uczta na czas dalszy odłożoną być musiała.

Głęboka cisza zaległa gwarny przed chwilą pałac: mówiono szepcząc, chodzono na palcach, bo każdy się obawiał aby czemkolwiek nie wzbudzić gniewu marszałkowej. Wieczorem tylko po cichu wszedł Tyzenhauz do pomieszkania panny Marty, aby się dowiedzieć co się z marszałkową dzieje.

— Czy już się uspokoiła? zapytał.

— W tej chwili spokojna, ale ta cisza zawsze zwiastuje u niej burzę, w chmurnym jej czole spoczywa piorun który pewno w kogoś uderzy.

— Po dokonanej zemście powoli zatrze się pamięć księcia, odrzekł Tyzenhauz, w tenczas... w tenczas otwarta będzie droga do jej serca.

— Dziwię się waszej odwadze. Uczucia źle umieszczone często wiodą do zguby, lecisz w ogień który go zniszczy i spali. Prawdziwa miłość nie żarem jest ale światłem, którego ciepły, jasny promień nietylko nas ożywia, ale uroczym blaskiem oświetla wszystko co nas otacza, bo jej siłą nietylko kochamy przedmiot naszych uczuć ale ogarniamy i świat cały. Taka miłość nie zabija ale ożywia i uszlachetnia.

— Moja panno Marto, przerwał Tyzenhauz, ryba żyje w wodzie, ptaki w słonecznych promieniach, a salamandra w ogniu.

— Zapominasz waćpan że salamandra jest istotą bajeczną, jak równie bajeczną jest miłość którą macie w głowie a nie w sercu. Wyobraźnia was zapala, roznamiętnia, ale prawdziwej miłości tam nie ma.

— Szczęśliwa jesteś panno Marto, że masz takie pojęcia.

— Może jestem nieszczęśliwa, odrzekła Hirszówna, bo trudno o taką miłość jak ja ją pojmuję.

Długo jeszcze trwała rozmowa, a gdy się rozeszli pannie Marcie kilka łez potoczyło się po twarzy i rzekła:

— O Boże! spraw abym mojem uczuciem mogła go uszlachetnić.

Później w lat dziesięć.

Pomijamy lat dziesiątek. W tym przeciągu czasu ileż zmian w życiu politycznem, towarzyskiem i rodzinnem. Wszystko idzie koleją przez Opatrzność wytkniętą, nic nie może pozostać na jednym miejscu, ludzkość popychana potężną ręką czasu, w życiu umysłowem i materyalnem ciągle ruch swój objawia, czy postępem, czy upadkiem.

Rzućmy pobieżnem okiem na ludzi których poznaliśmy w naszem opowiadaniu, i dowiedzmy się co się z niemi stało, jakie wypadki zaszły w ich życiu w ciągu tych lat kilku.

Książę Raciborski opuściwszy ojczyznę podróżował po różnych krajach, wszędzie przyjmowany stosownie do godności swojej, rozrywał się ucztami i turniejami. W podróży do Hiszpanii, zajmowały go bardzo fortyfikacye brzegów morskich, chciał wszystko zbadać, wszystkiego się nauczyć, aby dla kraju z wędrówek swych przywieźć jakiś pożytek, kazał więc zatrzymywać okręt naprzeciw wszystkich warownych portów i wysiadał aby je obejrzeć, pisał notaty i rysował plany różnych systemów fortyfikacyi. W Prowancyi, w *Tour de Bone*, został przytrzymany pod pozorem że jest życzliwy Hiszpanom z któremi na ów czas Francya była w wojnie: podejrzywano że w tym celu przebiega brzegi francuzkie, aby potem objąwszy dowodztwo nad flotą hiszpańską, łatwiej w granice francuzkie mógł wtargnąć. Nic nie pomogły protestacye księcia, został osadzony w więzieniu w Cystaronie. Ciężką była jego samotność, młody, przyzwyczajony do ruchu, musiał teraz dnie i noce przepędzać z własnemi tylko myślami. Roztrząsał przeszłe swoje życie, ważył swe postępki i wiele znalazł w nich do zarzucenia i nagany. Żywione uczucia dla pani Anny Kazanowskiej wydawały mu się teraz występkiem, ostatnia rozmowa z kanclerzyną Ossolińską, stawała mu ciągle w pamięci, a gdy raz we śnie ujrzał Cecylię Renatę, matkę swoją która powtarzała mu prawie słowa kanclerzyny, postanowił całą mocą ducha starać się o zabicie w sobie grzesznej namiętności. Czerpał siły w modlitwie przyrzekając Bogu, iż gdy wyjdzie z więzienia, całe życie poświęci Jemu. We dwa dopiero lata, gdy wszystkie starania Władysława IV, nie uwalniały brata z więzienia, wysłany do Francyi Aleksander Gąsiewski, wojewoda Smoleński, dokonał tego dzieła, przyrzekając że nigdy książę przeciwko królowi Francuzkiemu walczyć nie będzie. Z więzienia książę udał się prosto do Rzymu. Tam wyjawił przed papieżem, iż życzy sobie obrać stan duchowny. Inocenty X, przedstawił mu iż po bezdzietnym bracie może być powołany na tron Polski, że do tej pory nie może udzielić mu święcenia, ale go ozdabia kardynalską purpurą.

Jakoż sprawdziły się słowa Ojca ś. Po zgonie brata w marcu 1648 r. musiał książę wrócić do kraju i wkrótce został obrany królem. Powrót jego wskrzesił pamięć dawnego młodocianego uczucia; przyrzekłszy przed Bogiem wyrwać je ze swego serca, chcąc nową tamą się zabezpieczyć, zaraz po koronacyi poślubił Maryę Ludwikę księżnę Mantui i Manferratu, wdowę pozostałą po bracie Władysławie IV. Związek ten nie był po myśli wielu panów, odradzali go królowi, nawet na zamku znajdowano kartki z takim napisem: „Casimirus rex germana Sorore natus, germani coniugi capulatus, nunquam erit fortunas *). Lecz Jan Kazimierz nie zważał na nieukontentowanie ogólne, sumienie nagliło go aby chwycił się najprędszych środków wyleczenia się z budzącego się na nowo uczucia, i odjął wszelką nadzieję jaką mogła żywić w swem sercu uwielbiona przez niego kobieta.

Hrabia na Tęczynie Ossoliński, książę cesarstwa Rzymskiego, kanclerz Rzeczypospolitej nagle skończył życie w dzień wyjazdu swego do Rzymu, otrzymawszy od króla zlecenie do Ojca ś. Był to mąż wielkich politycznych zdolności, mówca znakomity,

*) Król Kazimierz z rodzonej siostry pierwszej żony swego ojca spłodzony, z brata żoną ożeniony, nigdy nie będzie szczęśliwy.

Rudawski.

człowiek silnej, niezachwianej woli. Zostawszy kanclerzem był główną podporą rządu, niechętni mu nawet musieli się uniżyć przed jego rozumem i wytrwałością. Po jego śmierci wielką pieczęć otrzymał Leszczyński. Pozostała po nim żona Izabella z Daniłowiczów Ossolińska, znana już z naszej powieści, nie mogła przenieść tego ciosu, połączona z mężem wieczystym węzłem na ziemi, wkrótce połączyła się z nim za grobem.

Adam Kazanowski marszałek nadworny, po długiej chorobie moralnemi cierpieniami spowodowanej, zakończył swój żywot męczeński. Cnotliwy i zdolny mąż ten, o ile był szczęśliwy w życiu publicznem, z miernego stanu rosnąc, ciągle w dostatki i dostojeństwa, o tyle był nieszczęśliwy w pożyciu domowem. Umiał zwyciężać wszelkie przeciwności, zawsze okazywał silny hart duszy, a nie mógł oprzeć się słabej dłoni niewiasty, która go trzymała samowładną wolą, i ciągłych zgryzot była przyczyną. Szanowany od narodu, a pogardzony przez żonę, dźwigał te kajdany Kazanowski w milczeniu, ale z niemi oswoić się nie mógł, żadna jednak skarga nie wyszła nigdy z ust jego. Pod koniec życia podwoiły się jego męczarnie; gdy książę Raciborski wyjechał z kraju, wiemy jakie były posądzenia żony, tem bardziej więc mu dokuczała nie dając chwili spokoju; zemsta jej granic nie miała, objawiała się nietylko w ostrych przycinkach, lecz często nawet w zelżywych wyrazach. Sił niestało Kazanowskiemu dłużej ten krzyż dźwigać, upadł pod nim i przeszedł do lepszego świata. Na miejsce jego został mianowany marszałkiem nadwornym, Łukasz z Bnina Opaliński. Pani Anna Kazanowska dla oka ludzkiego we łzach tonęła, przywdziała grubą żałobę, wspaniałym pogrzebem uczciła zwłoki męża, lecz dowiodła wkrótce jak były szczeremi te oznaki boleści, gdy we trzy miesiące poślubiła Heronima Radziejowskiego.

Hieronim na Radzicjowicach Radziejowski, podkanclerzy koronny, starosta Łomżyński, Bielski, Solecki, Warecki, Kozierodzki, Kamieniecki, dziedzic na Kryłowie, był często używany do rady przez Władysława IV-go. Bystre miał pojęcie, wszystko obejmował z szybkością, chwytał się często ostatecznych środków w przeprowadzeniu politycznych planów, słowem miał rycerskiego ducha i pragnął rozwiązywać każdą sprawę bez dyplomatycznych obrotów. Niejedną już usługę oddał Rzeczypospolitej, miał więc wziętość u dworu i poszanowanie u współ rodaków. Gdy u nas gorliwość o wiarę katolicką zapalała umysły i zbroiła ręce przeciw muzułmanom, wówczas kanclerz Ossoliński przedstawił wniosek do Senatu, aby na wzór zakonu Maltańskiego, utworzyć zakon rycerski pod opieką najświętszej Panny, dla rozkrzewiania wiary chrześciańskiej i wypędzenia Turków z Europy. Radziejowski podał Władysławowi IV myśl nieco odmienną dowodząc, że takie rycerstwo mamy już gotowe, należy je tylko uzbroić i zorganizować, że kozacy stojąc na pograniczu Tatarów i Turków, rycerskie swe siły obracają na swawole, a tryumf na łupieże i rozboje, więc zaprowadzić wśród nich karność i porządek, podnieść duch chrześciański wskazać wznioślejsze cele, a Polska wówczas ujrzy się w możności pokonania wrogów Ś-go Krzyża. Usłuchał tej rady Władysława IV; ale szlachta mocno została zatrwożona tą nową uorganizowaną siłą, która będąc w ręku króla mogłaby się stać potężnem narzędziem do innych celów dla niej groźnych, dbając więc o swoje swobody przeszkadzała urzeczywistnieniu tej użytecznej myśli. Całą winą naszą w oderwaniu się Rusi, nie był przypisywany nam ucisk kozaków, ani wprowadzenie Unii; a tylko postępowanie z kozactwem jakby z ludem podbitym, zawojowanym, nie zaś zjednoczonym jak Litwa. Czuli to dobrze kozacy a w takiem usposobieniu lada iskra łatwo pożar rozniecić może. Nadużycia Czaplińskiego, niesprawiedliwość Koniecpolskiego, wywołała bunt kozaczyzny. Chmielnicki człek przewrotny, mściwy, wiarołomny, z żądzą wyniesienia się, pod fałszywym hasłem ucisku politycznego i religijnego, zapalił długoletnią wojnę. Siły kozactwa nie były dostateczne aby stawić czoło wprawnemu do boju dzielnemu polskiemu rycerstwu; dla tego z początku bunt ich lekceważono; ale Chmielnicki znalazł sprzymierzeńców w Tatarach, i wraz z nimi pustoszył i niszczył znaczną część kraju. Gdyby na czele kozactwa nie stał Chmielnicki, który przy niepowodzeniu uniżał się przed królem, a w tejże chwili knuł nowe zdrady i nigdy szczerze nie postępował, gdyby wodzem ich był prawdziwy patryota Rusi, strony walczące pojednaćby się mogły. Polacy cieszyliby się nabytkiem nowej siły w narodzie, a naród Rusi zjednoczony jak Litwa i dotychże samych prerogatyw przypuszczony, używałby jednej i tejże samej swobody co Polska. Myśl więc Radziejowskiego podana królowi okazywała gruntowną znajomość stosunków politycznych obu narodów, później umowa Hadziacka myśl tę uskutecznić chciała, ale warunki dotrzymane nie były, i to spowodowało że reszta kozaczyzny poddała się Turcyi. Charakter Radziejowskiego otwarty, ale popędliwy, jednał mu wielu przyjaciół, lecz i nieprzychylnych miał też wielu. Każdemu śmiało prawdę mówił w oczy, politykować nie umiał, a gdy mu zaszumiało w głowie na poparcie swego zdania gotów był zawsze porwać się do szabli. Rubaszni go lubili, politycy nienawidzili. Do najszczerszych przyjaciół zaliczał Aleksandra Zamojskiego, miecznika Sieradzkiego; Adama i Bronisława Kisiela, wojewodę Kijowskiego i Władysława Dominika księcia na Zasławiu i Ostrogu, wojewodę Krakowskiego, swego krewnego. Nieprzyjaznemi zaś mu byli: kanclerz Andrzej hrabia na Lesznie Leszczyński i marszałek nadworny Łukasz z Bnina Opaliński. Te dwa stronnictwa nienawidząc siebie, wspólnie intrygowały u dworu nowoobranego króla i oba chciały otrzymać pierwszeństwo i przewagę, a wpływ swój ustalić.

Takim był Heronim Radziejowski w życiu publicznem, obaczmyż w życiu prywatnem. Pojmował iż opieka nad młodszą bracią szlachtą jest cechą polskiego pana; otaczał się więc biedniejszemi, protegował i wspierał w potrzebie. Był hojny ale wymagający, nienawidził kłamstwa, pochlebstwa i intryg, tych co szli temi drogami wypędzał bez namysłu. Położenie jego wymagało życia wystawnego, hojnie więc podejmował zaproszonych gości, choć sam zbytków nie lubił przekładał przy kielichu przyjacielską rozmowę, myśli swe wypowiadał otwarcie, a nieszczerość drugich uważał za podłą naturę. Ujęty wdziękami pani Kazanowskiej, zakochał się w niej szalenie, za trzecią swą bytnością u niej, oświadczył się ze swą gorącą miłością. Pani Kazanowska dowiedziawszy się iż król nagle poślubił wdowę po bracie, rozgniewana tym postępkiem, a widząc że zostawszy podkanclerzyną znowu będzie miała wstęp do dworu, a tem samem może potrafi znowu króla uwikłać w swe sidła, przyjęła oświadczenie i jak mówiliśmy, we trzy miesiące po zgonie marszałka nadwornego, została panią Radziejowską, podkanclerzyną koronną. Pierwsze miodowe miesiące upływały w szczęściu. Radziejowski zaślepiony miłością widział tylko same zalety w swej żonie, w poufnych rozmowach zachwycał się jej dowcipem i rozumem, w postępowaniu widział zacność i powagę, a oczarowany pięknością codziennie odkrywał w niej urok nowy, który go utwierdzał w przekonaniu że Bóg zesłał mu ją na osłodę życia. Pani Radziejowska była skończoną artystką, umiała grać wszelką rolę stosownie do okoliczności, czy to czułą żonę, czy mściwą i złą niewiastę. Wiedziała że zakochani nie są obdarzeni przenikliwością wzroku, łatwo więc jej było w uczuciach swoich oszukiwać męża. Najmocniej jednak trwożyło ją odkrycie, iż od zamąż pójścia nie czuła się być wszechwładną panią w domu. Kazanowski był uległym sługą, niczem nie krępował jej woli, sama wszystkiem rządziła samowładnie, teraz zaś wszyscy w najdrobniejszej okoliczności odwoływali się do męża, nawet własne jej rozkazy przed spełnieniem musiały odbierać sankcyą jego. Nie mogła pojąć jakim sposobem władza z jej rąk się wysunęła, cała zaś tajemnica w tem spoczywała, że Radziejowski innym od Kazanowskiego był człowiekiem. Przywykły do rozkazywania, nie rozumiał nawet aby ktokolwiek mógł się opierać jego woli; tacy ludzie objawiają tę siłę wzrokiem, postawą, ruchem każdym i otaczających mimowolnie zmuszają do posłuszeństwa. Zatrważało to podkanclerzynę, zamyślała zrzucić te więzy, lecz stając do walki czuła że przeciwnik od niej silniejszy, że niełatwo będzie mogła go pokonać; postanowiła zatem działać zwolna, nieznacznie osłabiać nieprzyjaciela, aby w danym czasie łacniej go zwyciężyć. Pierwsze więc miesiące upływały w spokoju, państwo Radziejowscy nikogo z obcych nie przyjmowali, miłość małżeńska zapełniała im życie, a że nie widywali nikogo, nie mogli na razie dopatrzeć w sobie wad wzajemnych, które w samotności niezwykły się objawiać: zalotność w żonie, zazdrość w mężu, obie te ułomności ludzkie w ich sercach górowały, obecnie uśpione, za lada powodem wybuchnąć mogą i szerokim zająć się płomieniem.

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

Lato we Lwowie.—Festyn ludowy.—Nasze ogródki.—Wysoki Zamek, Ogród miejski. Gmach sejmowy, Szpitalik dziecięcy Ś-tej Zofii.—Nowe książki.—Nasza nędza i walka z nią. — Przyjazd cesarza. — Zachowanie się ludności.

Jak wszystkie większe miasta, tak i Lwów wyludnia się w lecie, ruch wszelki ustaje, nieznośny kurz i nuda zalega ulice; jedni żydzi kręcą się jak zwykle, oblegają hotele, czatując na przyjezdnych, lub stoją gromadami na Wałach Hetmańskich, hałaśliwie rozprawiają o kursach giełdy wiedeńskiej i czekają na nieszczęsne ofiary potrzebujące pieniędzy. Od paru lat i teatr się zamyka; dramat i komedya rozjeżdża się na urlop, operetka jedzie do Krakowa. Prasy drukarskie stają, a jedyną rozrywką dla miasta jest muzyka wojskowa grywająca w ogrodzie publicznym i festyny.—Żadna prowincya nasza nie zna tego niepolskiego intruza, który się nazwał w Galicyi z niemieckiego Volksfest *festynem ludowym.* Jest to zwykła loterya (tombola) urządzona w ogrodzie, do którego wstęp płaci się kilkanaście centów; jedna, dwie lub trzy orkiestry, stosownie do możności, gra od 4-ej po południu do 11-ej w nocy, nakoniec jakiś fajerwerk, ognie bengalskie lub elektryczne słońce dodaje blasku zabawie wcale nie zabawnej. Tłum bowiem, pył, brak siedzeń i program wiekuiście ten sam, wszystko się składa aby znużyć i znudzić. Ale położenie każdego, stosunki, cel dobroczynny, zawsze skłaniać muszą mieszkańców do udziału w festynie. Pierwsze zwłaszcza udają się

bardzo, nęcąc po długiej zimie nowością, nadzieją rozerwania się na świeżem powietrzu i nadzieją, którą nietylko człowiek pojedyńczy ale i tłum ludzić się lubi, że coś nadzwyczajnego zobaczy. Jest wprawdzie w mieście kilka ogródków, gdzie przy muzyce wojskowej, istotnie doskonałej, możnaby miłą przepędzić chwilę, ale niestety, przybrały one cechę niemieckiej knajpy: zamiast wymaganej w takim razie choćby skromnej elegancyi, w urządzeniu całem widać coś prostackiego a nawet gburowatego, Służba czyli tak zwani *kelnerzy* dostatecznie brudni, nierzetelni, w końcu niezgrabni i niegrzeczni, dopełniają miary. — Są i okolice bardzo ładne; aleśmy za leniwi, aby sobie zadać trud podążyć do lasu. Inna rzecz, gdy idzie o zabłyśnięcie toaletą; wtedy nic nas nie zraża, ani upał, ani pył, ani brak dorożek, czyli mówiąc po naszemu *ajszpenerów*. Jest nakoniec *Wysoki Zamek* prześliczna przechadzka, ocieniona wielkiemi drzewami, mająca czyste powietrze, ta się znajduje na wysokiej górze, zkąd rostacza się wspaniały widok—z jednej strony u stóp leży miasto ślicznie z tej wysokości wyglądające, a którego przedmieścia jak liczne nogi pajęcze wychodzą z tułowia i wymykają się wąwozami w różne strony, malowniczo się wijąc pod górę, lub ciągnąc po płaszczyźnie; z drugiej strony równina na kilkanaście mil w głąb usiana wioskami, świecąca tu i owdzie bielą dworów wiejskich i kościołków, ślicznie odbijających na iście szmaragdowem tle łęgów i pól, i w sinej dali zamknięta szeregiem wzgórz, ciemną smugą lasów, lub też srebrną lub ciemnych barw mgłą. Nasycić się nie można tym widokiem, który o każdej godzinie dnia się zmienia pod wpływem światła słonecznego, spływającego to z jednej to z drugiej strony niebioskłonu. Jednak pełne świeżości i cienia poważne i rozległe aleje *Wysokiego Zamku* prawie zawsze są puste. Dla czego? nie umiemy wytłomaczyć.

Bardzo ładny *Ogród miejski*, niegdyś jezuicki, jest w łaskach u publiczności. Ależ proszę zobaczyć go w lecie, kiedy po jednej i tej samej ulicy, wymijając się z trudnością, krążą panie nasze i wydłużywszy ile starczy suknie, wznoszą pył pod zdziwione niebiosa; kiedy się widzi też same smętne i znużone twarze, wiecznie te same, wyglądające jak cienie nad brzegiem Styksu a nie mające czem Charona opłacić. Bo też istotnie jak w Tartarach tak i u nas brak pieniążka wszystko osmuca. Kiedy już jesteśmy w ogrodzie miejskim, nie wyjdziemy nie rzuciwszy okiem na gmach, który jeden jego bok od ulicy Słowackiego ogranicza. Jest to pałac sejmowy, przyszła siedziba Wydziału krajowego i miejsce obrad naszej Wysokiej Izby. Imponujący rozmiarami budynek ma front główny na ogród i z daleka dość ma efektu. Z blizka jednak mieszanina stylów, małość okienek przy rozmiarach fasady nieprzyjemnie uderza. Z dwóch boków mają stanąć jeszcze nie zaczęte dwie kamienice zastosowane do ogólnego planu. Drugi front łukiem idący wzdłuż ulicy Kościuszki zbudowany bez pretensyi, nie naraża się więc na sąd tak ostry jak fasada główna. Przybył nam także w tym roku ładny budynek i bardzo użyteczny, wzniesiony z funduszów składkowych: mówimy o Szpitaliku dziecięcym imienia Ś-tej Zofii. Śmiertelność w ogóle wielka we Lwowie, pochłaniała ogromną ilość dzieci, szczególniej w klasie ubogiej. Wielkiem więc to było dobrodziejstwem założyć szpital dla dzieci. Prawdziwy węgielny kamień położyli księstwo marszałkowstwo L. Sapiehowie. Książę bowiem dał 12,000, księżna 5,000 złr., reszta się dozbierała i szpital tego roku z wiosną został otwarty.

Zbudowany według systemu pawilonowego, łączy wszelkie wymagania nauki z bardzo wdzięcznym pozorem zewnętrznym i zaszczyt przynosi p. Józefowi Janowskiemu, według planów którego gmach wzniesiono. W ogóle miastu przybywa domów ozdobniejszych i lepiej wewnątrz urządzonych, tak że właściciele starych, szkaradnych kamienic do owczarni podobnych wstydzić się zaczynając tych fasad schodów i podłóg, coraz gęściej przemieniają je ku ozdobie miasta i wygodzie lokatorów. Sztuka więc i w ulicach ukazywać się odważa powoli—i my dojdziemy kiedyś do pięknych gmachów. Mamy wszak że takich architektów jak Zacharjewicz, Janowski, Hochberger. I w innych dziełach sztuki nie jesteśmy poślednі. Szczyci się Lwów takimi malarzami jak Rodakowski, Grabowski Andrzej, Żmurko, Leopolski, Tepa, a i rzeźba raźno się dźwiga. Ale w przyszłym liście dopiero zdam sprawę ze stanu naszej Wystawy sztuk pięknych, którą znowu po wyjeździe Cesarza otwarto w auli Szkoły politechnicznej. Pilno mi do książek kilku, które mimo ogólnego zastoju, ukazały się w ciągu lata a zasługują na to aby uwagę Czytelniczek Tygodnika zająć.

(d. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

Uwagi nad psychologią zwierząt.

Pomimo wielkiego podobieństwa pojawów życia u zwierząt i ludzi, długi czas nie śmiano przypuszczać u zwierząt nic takiego, coby mogło być przedmiotem psychologicznych badań, z powodu, oczywiście, wielkiej zarozumiałości ludzkiej, a także aby nie naruszyć wiarą i filozofią uświęconych zasad o nieśmiertelności ducha ludzkiego, sądząc, że przez to albo się człowieka zniży do zwierząt, albo zwierzęta w duchowym względzie podniesie się do ludzi.

Pomimo to rozjaśnienie tej rzeczy, tak blizko nas leżącej, stało się poniekąd potrzebą. Sami przywiązujemy się do zwierząt jak do ludzi, uszlachetniamy je i podziwiamy nieraz ich zręczność, pojęcie, uczucie i rozum nawet. Długi czas jednak lękano się pójść dalej, aby nie ubliżyć człowiekowi, który sam jeden z tworów posiada duszę nieśmiertelną.

Za zjawieniem się filozofii metafizycznej w Niemczech Leibnitz'a z początkiem XVIII wieku, poczęto dokładniej zastanawiać się nad siłą żywotną zwierząt, w Lipsku zawiązało się nawet towarzystwo przyjaciół psychologii zwierząt, w połowie tegoż stulecia i podało w latach po sobie idących, następne pytania do rozwiązania. 1) Czy zwierzęta są rozumem obdarzone? 2) Czyli to co duszą zwierzęcą nazwać można, umiera wraz z ciałem ich? i 3) Jakie są nadzwyczajne zjawiska u zwierząt?

Skutkiem tych rozpraw pojawiło się pierwsze dzieło Mejera (Versuch eines neuen Lehrgebäudes von den Seelen der Thiere). Przypisuje on zwierzętom rozum, ale mało rozwinięty, a po śmierci nadaje im doskonalsze życie na podobieństwo dzieci zmarłych, zanim się władze ich umysłu do rozumu rozwinęły. Następne pisma Buffona, Kondyllaka, metafizyków francuzkich i fizyognomistów; rozwijały więcej ogólne o zwierzętach wyobrażenia Hennings pełen oryginalnych pomysłów i spostrzeżeń, zaczyna domyślać się, czyby siła żywotna zwierząt nie miała prawa do równej nieśmiertelności co ludzie. Herder (Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit 1784) nazywa zwierzęta starszymi braćmi rodu ludzkiego. Różnicę widzi w samym ustroju. Człowiek dla tego wyższy nad zwierzęta mową, wolnością, nauką, nieśmiertelnością, że ku tym przymiotom jest ciałem swojem zbudowany. Kąt twarzy Kampera jest miarą usposobienia; u małpozwierza wynosi ten kąt 50°, u Kałmuka 70°, u Europejczyków 80°, ideał twarzy greckiej ma 90°. Człowiek jest pierwszym wyzwoleńcem ziemi, zwierz jest jeszcze niewolnikiem pochylonym ku niej. W towarzyskiem pożyciu ludzi ze zwierzętami, w jakiem żyli ze sobą na początku i dziś jeszcze żyją dzikie narody, rozwijają się zdatności i skłonności zwierzęce; w dzikości i niewoli tępieją. U kamczadalów np. niewiedzieć nieraz, kto rozumniejszy, człowiek czy pies jego.

Filozofia Kanta, a za nią następnych filozofów, robiąc z człowieka istotę moralną przez wolność ducha człowieczego nieograniczoną, poniżyła zwierzę do stanu rzeczy, która nie mając żadnych obowiązków, nie może też mieć praw żadnych. Takiem pojęciem utworzył się głęboki rozstęp między naturą ludzką a naturą zwierzęcą. Nie przypisywano zwierzętom żadnej duchowości, a instynktem, nałogiem tłomaczono u nich wszystko, co było na podobieństwo ludzkich działań umysłowych.

Z początkiem XVIII wieku wyszło kilka pism niby to systematycznych o psychologii zwierząt będących zbieraniną dawnych pomysłów i różnych powiastek o rozumie i przebiegłości zwierzęcej. Dopiero Gall i Blumenbach, sławni badacze przyrodzenia, następnie filozofowie natury i biegli w psychologii porównawczej jak Szelling, Oken i Szubert, zwracając ogólną uwagę na naturę, zwrócili ją na zwierzęta, i po pismach ich, lubo niewyłącznie psychologii zwierząt poświęconych, mnóstwo porozrzucanych napotykamy badań i pomysłów w tym właśnie przedmiocie ważnych. Wszelako psychologia zwierząt do zupełności systemu dotąd nie wyrobiona.

Do najpoważniejszych dzieł tej treści policzyć można pracę p. Scheitlina z St. Gallen w Szwajcaryi pod tytułem: Versuch einer vollständigen Thierseelenkunde. Autor przystępuje do tej pracy z wielkim zapasem wiadomości. Do najodleglejszych sięga źródeł i oznajmia czytelników ze wszystkiem co było do czasów jego napisane. Zaczyna od najdawniejszych wyobrażeń, jakie o zwierzętach mieli pierwsi twórcy religii, pierwsi poeci i filozofowie. Przechodzi wyobrażenia starego i nowego zakonu, religii pogańskiej Indów, Persów, Egipcyan, Greków i Rzymian, nauki Talmudu i Koranu. Rozbiera wyobrażenia naturalistów, lekarzy i filozofów począwszy od Talesa aż do Okena, od Klinijusza aż do Blumenstoka, nakoniec od Gallena aż do Galla. Z całego tego obrazu o naturze zwierząt, ciągnącego się przez kilka tysięcy lat, trzy różne pokazują się stanowiska: raz stawiano zwierzę wyżej człowieka oddając mu nawet cześć boską; drugi raz kładziono je pod nim bardzo nizko, mianowicie za czasów metafizyki niemieckiej; nakoniec wyobrażano sobie zwierzę równą istotą duchową człewiekowi i te to pojęcia mianowicie rozwijały pisma biorące sobie za przedmiot psychologią zwierzęcą.

U wszystkich narodów starożytności, wyjąwszy jeden naród żydowski, — miano zwierzęta w czci i poszanowaniu. Mojżesz poddaje zwierzę w moc i pożytek człowieka, ale człowiek ma względem zwierzęcia obowiązki sprawiedliwości i miłości. W nowym testamencie apostoł Piotr święty znosi wyobrażenie zwierząt nieczystych, które trwało przez cały stary zakon. Ważnem jest to że żaden z twórców religii, zwierzęcia do rzeczowego pojęcia nie upodlił.

W psychologii zwierząt nastręczają się dwa pojęcia: co jest psyche (dusza) w ogólności i jej blizkoznaczniki, duch, życie, siła żywotna; i powtóre ja-

ka jest ogólna cecha zwierząt, którą się od innych tworów natury wyróżniają. Pierwsze pytanie rozwiązuje się z zasad fizyologicznych, a definicye ztąd opierają się na zmysłowych poznakach. Kwestya trudności znalezienia pierwiastku duchowego staje tu na zawadzie. Co zaś do drugiego pojęcia, to najrzetelniejszą jego cechą jest, że każde zwierzę ma sąd o rzeczy. Sąd ten pokazuje się w czynieniu wyboru. Ani rośliny ani minerały nie mają sądu o rzeczy i dla tego dają się nagiąć na postacie jakie im człowiek lub okoliczności przypadkowe nadadzą, zaś zwierz, choćby wymoczek tylko, nie ugina ustroju swojego pod wpływem jakimkolwiek, lecz przeciwnie ochrania go i ponieważ ma sąd o rzeczy więc szuka np. wody nie suszy bo wie że tam jest życia jego żywot. Im doskonalszy jest zwierz, tem władza sądu jest wyższa. Naturalnie sąd ten *instynktem* przezwali. Nie idzie tu o wyraz, lecz sąd taki jest objawem siły żywotnej, umu zwierzęcia, jest znamieniem jego duchowości i jest podstawą psychologii zwierzęcej. Władzą czynienia wyboru między tylu miryadami tworów i żywiołów, wybierania z nich właśnie tylko tego, co do utrzymania życia i działania żywota jest potrzebne i przydatne, a okazywania wstrętu do wszystkiego innego, co jest szkodliwe i niepożyteczne, zwierzęta stanęły na wyższym szczeblu przyrodzenia i wyróżniły się od innych tworów ziemskich. Można tu zrobić zarzut że zwierz o robieniu takiego wyboru nie wie i wybiera co mu przydatne, a odrzuca co naturze jego przeciwne, w skutek działania tejże natury, która mu te a nie inne dała narzędzia i ten a nie inny sposób do życia. Lecz życie wszystkich tworów ziemskich jest wypływem życia ziemi samej, psyche ziemska jest regulatorem wszystkich psychologicznych pojawów. Ona wydała z łona swojego rozmaite twory, rozmieściła je podług klimatu i zaopatrzyła każdy twór w to co mu potrzeba. Niepojętem jest tylko jak się duchowość w tę nszą ziemię przeoblekła, niby bóstwo w świecie widomym, jak się tworom udziela i czyli po rozprzężeniu się życia tworu jakiego, ów udział, czy ulew siły żywotnej ziemskiej, do niej się wraca. Może w chwili skonu, przynajmniej u doskonalszych zwierząt, odzywa się przeczucie innego żywota, człowiek bowiem silną wiarą wytęża ducha swego ku przyszłości, gdy się z życiem doczesnem rozstaje.

Na ustrój zwierzęcy są pewne typy, formy stałe w naturze, z których się tworzą także stałe klasy, gatunki i rodzaje zwierząt. Mieszańce nie mnożą się lecz zaraz w pierwszem pokoleniu wymierają. Co nie jest typem, ale przypadkowem spaczeniem nastroju nie przechodzi w pokolenie. Im niższy jest ustrój zwierzęcy, tem jednostajniejsze ciało, tem większa łatwość odrastania członków i stawów. W najwyższym stopniu posiada ją tasiemiec wodny (Nais) robak z 26 stawów złożony; po posiekaniu na 26 części daje z każdej części nowego robaka, bo każdemu stawowi pysk i ogon wyrasta. Im niższy ustrój tem jednostajniej po nim siła żywotna rozlana, im doskonalszy i złożeńszy tem bardziej się w pewnych częściach koncentruje, Żółwie np. żyją jeszcze parę tygodni bez głowy. Głowa żmii odcięta kąsała jeszcze dość długo po operacyi. Cesarz Conimodus ścinał głowy strusiom wśród biegu, a kadłuby ich biegły jeszcze aż do mety. Motyle i chrząszcze latają bez głów, mucha z uciętą głową lata jeszcze, choć czuje że jej czegoś braknie i przedniemi nogami głowy szuka.

Pewien naturalista ściął głowę wygłodniałemu kogutowi podczas kiedy biegł do nasypanego ziarna; głowa spadła a kadłub dobiegł około 20 kroków do ziarna i nachylił się ku niemu. Przykłady te dowodzą że koncentracya życia zwierzęcia nie jest w głowie, lecz w całym systemie jego ustroju i że życie nie odrazu z utratą jednego systemu ustaje, a więc po odcięciu głowy działanie zwierza jest jeszcze działaniem jego psyche że tam jest sąd, jest wyróżnianie.

Podział zwierząt na klasy i gatunki, polegał od czasów Arystolesa na różnicy znamion zewnętrznych. Pierwszy Oken uporządkował zwierzęta wedle zasad fizyologicznych. Scheitlin zaś porządkuje je psychologicznie. Zwierzę stosunkowo tem jest doskonalsze, powiada on, im więcej ma sądu. I tak robak rozpoznaje tylko to, co mu za pokarm służy, motyl ma już zmysł kolorów, orzeł rozróżnia głos i czyni różnicę między zwierzęciem i człowiekiem, człowiek nareszcie poznaje czas i rzeczy niewidome i bada przyczynę i skutek.

Sąd jako różnicowa cecha zwierząt objawia się przyrodzonemi własnościami i temperamentem, pierwsze objawiają się np. w sposobie budowania gniazd, wynajdowania żywności; temperamentem zaś nazywa się charakter działania zwierzęcia. Tak np. Oken przekonał się, że z czerwonokrwistych, ryby są flegmatyczne, ptaki sangwiniczne, ssące zwierzęta—choleryczne.

Stosownie do tych objawów siły żywotnej i do tego stanu ducha zwierzęcego, widzimy podzielone całe królestwo zwierząt, począwszy od nitkowatych, okiem niedojrzanych pasożytów, jako najmniej złożonego ustroju, bo bez kiszki i bez otworu, aż do owego sławnego psa, zwanego Barry, z góry Ś-go Bernarda w Szwajcaryi, którego po dwunastoletnich wysługach dla dobra ludzkości, utrzymywano kosztem publicznym aż do śmierci, i który do dziś dnia znajduje się w prytaneum wypchany. O władzach umysłowych psa jako najbliżej stojącego ludzi jest wiele do powiedzenia. Wiadomo jest o tym sławnym psie który budził załogę cytadeli korynckiej kiedy się nieprzyjaciel zbliżał, o tym który biegł młynarzowi dać znać kiedy dziecko jego wpadło do wody,—o sławnym psie Macaira który poznał mordercę swojego pana i rzucając się nań z wściekłością byłby go rozszarpał, i o wspomnianym Barry który codziennie mając u szyi zawieszony koszyk z żywnością i wzmacniającym napojem, wychodzi z klasztoru Ś-go Bernarda w wichry i zawieje i od szukiwał i ratował zasypanych. Prawdziwa dusza tego psa czuła litość i miłosierdzie: bez przymusu i z własnej ochoty niósł on pomoc ginącym a nietylko w tem poświęceniu nie ustawał lecz w ciągu 12 lat codziennie to samo powtarzał.

(d. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Października 1880.

Jesień sprowadziła mnóstwo nowych pomysłów w świecie mody. Mieliśmy sposobność przekonać się o tem, przeglądając pilnie przedmioty zakupione do Warszawy przez panie Kuhnke, obecne właśnie w Paryżu. Tak w kapeluszach, jak w ubraniu sukien i okrywek, ciepły plusz odgrywa przeważną rolę; znać wspomnienie zeszłorocznych mrozów dało pobudkę do tej mody.

Forma kapeluszy odznacza się wysuniętem naprzód rondem, zachodzącem na czoło, główką szeroką średniej wysokości. Obok tych widać jednak i małe kapelusze, i toczki i berety w formie bufowanych czapeczek. Do ubrania ich przyjęte głównie strusie pióra, złote torsady, brosze i szpilki rozmaitego rodzaju. Kolor czarny przemaga w kapeluszach; zdobią je atłasem w kolorze *viel or* i ciemno *caroubier* czyli morderowym. Niekiedy mięszają dwa kolory, naprzykład morderowy z mirtowym.

Po tych ogólnych uwagach dajemy szczegółowy opis kilkunastu kapeluszy, odznaczających się wytwornym smakiem i wielką rozmaitością.

Pierwszy z magazynu pani Parisot, czarny pluszowy: rondo mocno wysunięte na czoło, brzegiem idzie złota torsada, zakończona rzędem dżetowych pereł. Pod spodem plusz czarny, gładko podszyty. Z lewego boku dwa strusie pióra, przytwierdzone podwójną szpilką złotą. Końce do wiązania z szerokiej wstążki *gros grin.*

Drugi kapelusz z tegoż magazynu, bardzo oryginalny. Główka u niego czarna pluszowa, lekko spuszczona; rondo złożone z plisowanej wstążki pąsowej, danej dwoma rzędami. Od strony główki wstążka ta przysłonięta koronką czarną. Z lewego boku spadają trzy czarne strusie pióra; do wiązania szarfy koronkowe.

Trzeci kapelusz mały pluszowy w dwóch kolorach, mirtowym i ciemno *caroubier.* Główka zielona, rondo naszyte czterema plisami obu kolorów. Pod rądem wielka kokarda ze wstążki atłasowej w kratę mirtową i caroubier, przepięta broszą złotą, szarfy szerokie w kratę, nie wiążą się lecz zakładają na krzyż i spinają na broszę.

Czwarty kapelusz z magazynu pani Loys, — pluszowy, koloru wydry, rondo ma wielkie zachodzące na czoło, boki mocno podcięte. Nad rondem wielka kokarda płaska z atłasu i pluszu, ujęta w złotą agrafę; powyżej pęk piór strusich do cieniu, na karczku pąsowa kokarda: szarfy do wiązania atłasowe koloru wydry; można je odejmować — model ten bardzo oryginalny zowie się *Sarah Bernard.*

Piąty w podobnym rodzaju czarny aksamitny, naszyty brzegiem torsadą złotą i riuszą z koronki czarnej. Z prawego boku spada kokarda, z lewego bukiet z kilku małych piór strusich. Szarfy do wiązania z wązkiej wstążki atłasowej.

Szósty kapelusz wizytowy, strojny, ma denko u główki szerokie z czarnej materyi zahaftowanej złotem. Pod rondkiem aksamitnem, odwiniętem w górę, przechodzi płasko położone strusie pióro. Od ronda spada frendzelka szenelowa ze złotem. Z wierzchu idą węzły aksamitne przepinane złotemi broszami; końce szerokie atłasowe spinają się na broszę.

W okrągłych kapelusikach większa jeszcze uderza rozmaitość.—Oto szczegółowy ich opis.

Pierwszy z nich zwany *polskim*, ma formę spadającej na bok czapeczki. W koło głowy przechodzi pasek, nagarnirowany wodą z aksamitu czarnego. Główka nizka z szerokiem płaskim denkiem, przechylona ku lewej stronie, przypięta do paska szpilką złotą. Z drugiej strony spada czarne, dość długie pióro.

Drugi kapelusik czarny kastorowy *amazone*: rondo objęte czarnym pluszem; w koło główki okręcony plusz i atłas; z jednego boku spadają dwa strusie pióra, z drugiego wpięta strzała dżetowa ze złotem.

Inny także *amazone*, ma nad czołem dwa strusie pióra, odwrócone na obie strony, przepięte w środku łapą niedźwiedzią, ze złotemi pazurami.

Czwarty pluszowy czarny w formie toczka; rondko całkiem podniesione do góry; główka przybrana węzłami z atłasu *caroubier*, przepinanemi złotem; z boku pęczek piór strusich.

Piąty pluszowy, koloru szarego (feutre), mocno opuszczony na czoło, ubrany atłasem tegoż koloru.

Pod rondem podszyty plusz caroubier; z boku ptaszek; po obu stronach wpięte podwójne szpilki złote.

Szósty berecik czarny aksamitny, cały nabufowany. Z tyłu spada długie strusie pióro; z boku wpięte dwa złote chrzabąszczyki.

Inny znów aksamitny czarny, ma rondko odwinięte, pokryte wodą; główka cała przysłonięta kapłoniemi piórkami i dżetem.

W przewidywaniu twardej zimy, wymyślono woalki wielkie, przymarszczone w tyle w rodzaju kapiszonów; pokrywa się niemi cały kapelusz; długie końce odwrócone do przodu, zasłaniają szyję od zimna.

Ubiorki na głowę, po większej części czarne,— przypominają bardzo mantyle hiszpańskie. Ta moda rozpowszechniła się w Paryżu, od czasu widowiska wyprawionego na korzyść dotkniętych powodzią murcyjczyków.

Jedna z tych mantyl — zwana *Murcie*, z lekkiej blądyny hiszpańskiej—spada na warkocz i ramiona, nad czołem idzie diadem przepinany dżetami.

Inna okazalsza jeszcze ma na djademie pięknego motyla z dżetu; po obu stronach rozchodzą się pukle z koronki złotej. Mantyla ta spięta na piersiach złotą broszą.

Trzecia znów mniejsza cokolwiek, w rodzaju fanszonika, objęta cała frendzlą sznelową; nad czołem koronka pomięszana ze sznelą i dżetem.

Zasługuje na szczególną uwagę, śliczny ubiorek katalońskie *reine Christine*, z muszlinu indyjskiego, w kolorze *viel or*, w błyszczące muszki złote, ogarnirowany koronką tegoż koloru. Nad czołem upięte pukle ze wstążki *caroubier* w perski deseń, przypięte strzałą złotą.

Do tego ubiorku, przygotowana stosowna krawatka, z muszlinu w złote muszki, ozdobiona koronką *viel or*.

Dla starszej osoby, uważaliśmy czepeczek w kształcie fanszonu — z czarnej koronki podgarnirowany białą, ozdobiony chwaścikami dżetowemi. Na wierzchu wpięta wielka kokarda z wstążki atłasowej koloru dahlia.

Przejdziemy teraz do kołnierzyków—w tych niesłychana panuje rozmaitość. Panie Kuhnke, zgromadziły wielki ich zapas, z właściwym sobie gustem.

Do codziennego ubrania, uważaliśmy stojące płócienne, z odwiniętą poniżej pliską, bardzo ładne i oryginalne.

Inne znów, wielkie półbatystowe z szerokim obrębem, spadają zębami na ramiona. Kładą je zwykle na prosty płócienny kołnierzyk, lub plisowaną ruszkę. Mankiet do tego z szerokim obrębem, odwija się na rękaw.

Z pomiędzy strojnych, uderzył nas oryginalnością kołnierz *Henri IV*, złożony z kryzy koronkowej, szerokiej blizko na pół łokcia, układanej w drobne plisy. Ta kryza spada na stanik. U szyi zdobi ją riuszka koronkowa—podwiązana wstążką atłasową *viel or*.

Niepodobna nam wdawać się w szczegółowy opis tych wszystkich kołnierzyków, żabotów, krawatek, z gazy indyjskiej i muszlinu, garnirowanych koronkami: *Malines Alençon*, *point d'angleterre*, *de Brabant* i t. p. Trzeba je koniecznie widzieć, aby ocenić ich piękność i rozmaitość.

O strojnych sukniach przygotowanych na karnawał, powiemy w przyszłem sprawozdaniu—dziś opiszemy tylko parę zimowych kostiumów, wybranych na model przez panie Kuhnke.

Jeden z nich sukienny granatowy, ma spódniczkę do ziemi, zakończoną wązką falbanką z granatowego atłasu. Nad tą idzie plisowany wolant sukienny, szeroki na pół łokcia. Tunika niezbyt szeroka, przymarszczona z przodu i po bokach, objęta u dołu grubym sznurem, tworzy z tyłu festony, podpięte węzłami z takiegoż sznuru. Stanik do tego dosyć długi, spięty na złote guziki; kołnierz u niego naszyty złotą pletnią, równie jak mankiety u rękawów. U szyi węzeł ze sznura, takiż węzeł w tyle stanika nad fałdami.

Drugi kostium także sukienny ciemno caroubier składa się również ze spódniczki, tuniki i długiego stanika. Dół spódniczki zakończony falbanką atłasową w tymże samym kolorze — z wypustką koloru *viel or*. Nad tem idzie szeroki plisowany wolant sukienny. Tunika przemarszczona z przodu i po bokach, naszyta brzegiem sześcioma rzędami sutaszu, koloru złotego. Stanik z roztwartemi połami spina się na wielkie guziki szmuklerskie. W koło stanika, równie jak na kołnierzu, mankietach i kieszeniach, naszyty sutasz w kolorze złotym.

Trzeci kostium wizytowy czarny z indyjskiego kaszmiru; u dołu wązka atłasowa falbanka. Nad nią szeroki pas z pluszu czarnego, przecięty w czterech odstępach. Z pod każdego rozcięcia wychodzi plisowany atlas w kształcie wachlarza. Tunika do tego kaszmirowa, z tyłu upięta, w niezbyt bufiaste festony. Stanik kaszmirowy, roztwarty, pod spód idzie kamizelka pluszowa. Przody stanika spinają się na jedwabne pletnie. Rękawy przystrojone pluszem i atłasem.

Z kraju i z zagranicy.

„*Zorza*". Rok 15-ty wychodzi już u nas tygodniowe jedyne pismo dla ludu miejskiego i wiejskiego p. t. *Zorza* z illustracyą w każdym numerze. Wydawca jej i redaktor tegoż pisma Józef Grajnert, łamiąc się przez lat wiele z niemałemi trudnościami, obecnie doznaje coraz większego uznania zacnej swej pracy.

Obok artykułów, dotyczących najbliższych potrzeb ludu naszego, *Zorza* mieści w każdym numerze powieść i artykuł religijno-moralnej treści najprzystępniej podany. Umoralnianie i oświata tych licznych warstw ludu naszego—oto hasło redakcyi. Dopomagajmy więc jej czem i jak kto może — piórem i szerzeniem pisma tego po wsiach i miastach. Moralność i Oświata — to wielkie słowa, to wielkie kierunki społeczne. Każdy ma obowiązek przyczynienia się do nich, wedle sił swych i możności.

Cena *Zorzy* w Warszawie rocznie rs. 2 kop. 40, pocztą rs. 3.

Nadmieniamy, że od Nowego Roku b. wychodzi przy *Zorzy* co miesiąc *dodatek bezpłatny* p. n. „Poradnik Gospodarczy dla mniejszych posiadaczy rolnych."

Redakcya *Zorzy* mieści się pod № 18 ul. Wspólna w Warszawie.

„*Opiekun Domowych i Pożytecznych Zwierząt*". Pismo to również tygodniowe i illustrowane, jest niejako dopełnieniem „Zorzy". Przeznaczeniem jego jest szerzyć pomiędzy ludem poczucia sprawiedliwości, miłosierdzia i dobrego obchodzenia się z dobytkiem domowym, a zarazem podawania dorad i środków leczniczych w hodowli zwierząt domowych. Spotykamy się także w tem piśmie z wielu wiadomościami dotyczącemi historyi naturalnej i opowiadaniami na tem tle ułożonemi.

Prenumerata „Opiekuna" wynosi w *Warszawie* rs. 2 kop. 40, pocztą rs. 3.

Redaktorem i Wydawcą pisma tegoż jest wydawca Zorzy p. Józef Grajnert.

Z tego niejako prospektu łatwo każdy osądzić może, jak p. Grajnert ważną prowadzi pracę jak niezrażony niczem pomimo największej obojętności dźwiga brzemię raz podjęte i nietylko w zadaniu swem nie słabnie, ale przeciwnie krzepiąc się rozwija je coraz więcej. Gdyby pisma te znalazły się w każdej wiosce i miasteczku, gdyby każdy egzemplarz ich posiadał choć jednego gorliwego czytelnika, jużby oddziaływanie jego na drugich było niezmiernie zbawienne. Czyżby o to było tak trudno?

Dnia 16 z. m. miało miejsce w Kołomyi odsłonięcie pomnika Franciszka Karpińskiego. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem podczas którego dawano salwy z moździeży i przyg rywała muzyka. Adwokat Dębicki, w imieniu gminy, przyjmował pomnik pod opiekę tejże, i zarazem podziękował profesorowi Wajglowi który pierwszy powziął myśl wzniesienia pomnika, oraz rzeźbiarzowi Gadomskiemu który go wykonał.

Pomnik wzniesiony jest w rynku, w ogrodzeniu otoczonem drzewami. Na wysokiej podstawie wznosi się posąg poety nadnaturalnej wielkości, przedstawiony w postawie stojącej w stroju narodowym; z jednego ramienia zsuwa się płaszcz, w lewej ręce trzyma książkę, prawą położył na piersiach, zdając się mówić że z serca do serc przemawiał.

Pomnik ten wykuty z piaskowca, ma pięć metrów wysokości. Na czterech stronach podstawy pomnika umieszczone są cztery czarne marmurowe tablice z napisami. Na stronie frontowej imię i nazwisko poety, oraz data urodzenia i śmierci, na trzech innych trzy strofy pieśni religijnych Karpińskiego.

Znany archeolog profesor Łepkowski, zwiedzając klasztor Benedyktynów w Pradze czeskiej, pomiędzy różnemi tryumfami wojennemi, znalazł kilka polskich chorągwi, pochodzących zdaje się z XVI stulecia. Prawdopodobnie chorągwie te zostały zabrane przez Szwedów, a zdobył je na nich jenerał Horn, dowodzący wojskami Ferdynanda III-go w bitwie pod Nördlingen 6 września 1634 r., w której Szwedzi zostali pobici. Profesor Łepkowski układa się z klasztorem o wydanie tych chorągwi, i jeźli nastąpi pożądana ugoda, liczna deputacya uda się do Pragi dla zabrania i uroczystego przeniesienia do Krakowa owych szacownych pamiątek, które pomieszczonoby w zamku na Wawelu.

Dotąd nie zgadzano się co do miejsca urodzenia Kościuszki, jedni podawali za nie Mereczowszczyznę w powiecie słonimskim, w guberni Grodzieńskiej, inni majętność Siechnowice w powiecie kobryńskim, w tejże gubernii. Obecnie prawnuczka naszego bohatera, po siostrze jego Annie z Kościuszków Estko, pani Marya Wisłocka, oznajmia iż wiadomo jej jest, tak z podań jako i z dokumentów familijnych, iż pradziad jej urodził się w Siechnowicach, jak to potwierdza Niesiecki, i tam przemieszkiwał aż do wyjazdu do Ameryki. W ogrodzie siechniowieckim istnieje dotąd szpaler sadzony ręką Tadeusza Kościuszki, oraz kapliczka drewniana zupełnie zniszczona, z płytami nagrobkowemi pod któremi spoczywa wielu członków rodziny Kościuszków. Siechnowice nadane były któremuś z przodków jenerała jeszcze przez Kazimierza Jagiellończyka.

Gorliwy poszukiwacz pamiątek narodowych, konserwator zabytków archeologicznych p. Łepkowski, znalazł w składach kościoła św. Anny w Krakowie, zapomniane tam od lat stu a dość dobrze dotąd dochowane buńczuki tureckie, które Sobieski złożył u grobu św. Jana Kantego, powróciwszy do Krakowa po odsieczy wiedeńskiej. Kazawszy wy-

restaurować jak najstaranniej, p. Łepkowski powrócił je pierwotnemu przeznaczeniu, to jest zawiesił przy trumnie św. patrona jagiellońskiej wszechnicy.

Podobno zamierzona Wystawa pamiątek po Sobieskim w Sukiennicach, ma byćodłożoną do r. 1883 jako dwuchsetletniej rocznicy oswobodzenia Wiednia. Na tę pamiątkę odbyło się d. 13 b. m. doroczne nabożeństwo dziękczynne w kościele na Kahlenbergu. Podczas Mszy św. którą odprawiał ks. prałat Stöger, w asystencyi licznego duchowieństwa, listwa oderwała się od ołtarza i spadła na nogi celebranta, ale szczęściem nieszkodliwie, mógł więc dokończyć nabożeństwa.

∽ Mało zapewnie komu z Czytelników znany jest ceremoniał galowych obiadów na dworze cesarsko-austryackim. Podajemy opis jego według gazet lwowskich.

W dniu oznaczonym kancelarya dworska rozsyła zaproszonym elegancko drukowane bilety zapraszające, ozdobione cesarskiemi herbami; na biletach oznaczona jest godzina z nadmienieniem, iż gdyby zaproszony nie mógł przybyć, powinien tegoż dnia rano wytłomaczyć powód nieobecności w kancelaryi cesarskiej, w przeciwnym razie ubliżyłby majestatowi monarszemu. przy którego stole nie mogą zostawać miejsca niezajęte. Na 10 minut przed oznaczoną godziną, zaproszeni goście przybywają do przedsionka pałacu, zkąd lokaje przeprowadzają ich do właściwej kancelaryi, w której siedzi urzędnik dworski przy stole okrytym zielonem suknem, założonym białemi i błękitnemi kartkami. Tam przybyły wymienia swoje nazwisko, poczem urzędnik ów daje mu kartę błękitną a lokajowi białą. Lokaj oddala się prędko z daną sobie kartą, a zaproszony przechodzi do pokoju w którym stoi mistrz ceremonii, i ten odebrawszy kartę błękitną kłania się i objaśnia gościa czy siedzi na prawo czy na lewo. Zgodnie z odebranem zawiadomieniom, zaproszony przechodzi wskazanemi drzwiami, wita się ceremonialnie ze znajdującym się w tej sali dostojnikiem, i z zaproszeniem w ręku wchodzi do sali jadalnej, gdzie natychmiast wskazują mu miejsce jego przy stole. Obok nakrycia leży: *menu* po francuzku, program muzyki po niemiecku, oraz karta obejmująca nazwiska obu sąsiadów, gdyż podczas obiadu rekomendować się sobie nie wolno. Dalej objaśniają przybyłego że niewolno stukać, rozmawiać głośno, ani wnosić toastów, poczem przeprowadzony jest do trzeciego salonu, gdzie jenerał Mondl przyjmuje zaproszonych. Po ceremonialnem przywitaniu, przechodzą do dużej sali, gdzie każdego spotyka kuchmistrz cesarski, hr. Kinsky. We Lwowie namiestnik przedstawiał mu każdego z zaproszonych, a hr. Kinsky wypowiada jakiś grzeczny frazes i mówi do gościa: „Machen Sie sich bequem“ — co przecież znaczy tylko żeby nie stać koło drzwi wiodących do pokoi cesarskich, tylko odsunąć się cicho i nie rozmawiać głośno. W sali tej nie ma żadnego siedzenia. Gdy bije oznaczona godzina wbiega do sali mistrz ceremonii, wołając: „Meine Herren, es komt Se Majestät, machen Sie ein Spalier.“ Na tę komendę wszyscy ustawiają się w szpaler, lokaje otwierają podwoje i cesarz wzdłuż szpaleru przechodzi miarowym krokiem do sali jadalnej nie zwracając na nikogo uwagi. Stoły ustawione są w podkowę, cesarz siada na pierwszem miejscu, poczem wszyscy cicho i prędko zdążają do miejsc swoich. Na każdych dwóch gości wyznaczony jest jeden lokaj. Gdy już wszyscy zasiedli natychmiast podają zupę i po niej bardzo śpiesznie jedną za drugą potrawę, nie zważając czy kto zjadł czy nie. Na dany znak laseczką przez mistrza ceremonii, lokaje zmieniają nakrycia, potrawy, i nalewają wina. Rozmawiać można tylko bardzo cichym głosem. Po skończonym obiedzie mistrz ceremonii daje znak że cesarz wstaje; w tejże chwili lokaje szybko porywają za krzesła, aby wszyscy natychmiast wstali. Gdy cesarz odszedł, wszyscy co prędzej spieszą za nim, dla odbycia tak zwanego *cercle*. Cesarz zatrzymuje się przed drzwiami do swoich pokoi, a wszyscy goście powinni już uszykować się w pół kole. Teraz cesarz nie pomija nikogo; przechodząc do każdego z kolei przemawia kilka słów, na które koniecznie powinno się odpowiedzieć. Dopóką cesarz odbywa *cercle* nikt nie może poruszyć się z miejsca —i wszyscy wtedy dopiero się rozchodzą, gdy cesarz ukłoniwszy się, opuści salę.

∽ Z Galicyi donoszą: Oprócz uczty dla włościan wyprawionej we Lwowie, odbył się także drugi bankiet podobny, w czasie pobytu cesarza, w Stanisławowie. Bawiono się ochoczo i z wielką nawzajem serdecznością. Na uczcie tej d-r Kamiński poseł do rady państwa i na sejm krajowy, a również i pan Mieczysław Mikłowski. przemawiali po rusińsku, a natomiast kilku włościan rusińskich wypowiedziało podziękowanie po polsku.

∽ Z Londynu. Pani Modrzejewska rozpocznie szereg ról gościnnych na scenie Court-theater 9 października. Wystąpi najprzód w „Maryi Stuart“ Szyllera.

∽ Z Pragi piszą: Stowarzyszenie artystyczno-literackie w Pradze niedawno zawiązane przez Polaków, osiadłych w stolicy Czech, jak twierdzi „Politik,“ rozwija się bardzo pomyślnie i z dniem każdym cieszy się coraz większą sympatyą między Czechami. Do stowarzyszenia przystąpiło wielu pierwszorzędnych literatów i artystów czeskich. Sam wydział w jednej trzeciej części składa się z Czechów. „Podnieść wypada, pisze „Politik“, pełną sympatyi uprzejmość Polaków względem swych kolegów czeskich. Dnia 20 z. m. Towarzystwo obchodziło uroczystość wręczenia przepysznego albumu p. Edwardowi Jelinkowi, patryocie czeskiemu i przyjacielowi Polaków, który niedawno własnym kosztem odbył podróż po różnych prowincyach polskich i zapoznał następnie swych rodaków, ze stosunkami polskiemi. Na to odpowiedział p. Jelinek, że przyjaznych uczuć Polaków nie bierze tylko do siebie, ale je stosuje do całego narodu czeskiego, i że radość serce jego przenika iż skromnemi swemi pracami przyczynił się trochę do ściśnienia owego węzła który łączy oba narody.“

Towarzystwo posiada już wcale bogatą bibliotekę, i co sobota urządza zabawy towarzyskie.

∽ Nadużycie. Zdarza się, według „Mołwy,“ że niektórzy członkowie władz policyjnych niższych, czynią sobie „zabawkę“ z okręgu do nich należącego. Oto naprzykład, jak się zabawia jeden z naczelników powiatowych w gubernii Kazańskiej. W niedzielę dla zabawy poleca straży ogniowej odbywać przeglądy. Byłoby to rozrywką bardzo niewinną, gdyby jej nie urozmaicała pomysłowość naczelnika. Bo oto podczas jednego z takich niedzielnych przeglądów, ku oknom domów sąsiednich skierowane były sikawki pożarne, damy na balkonach oblane zostały wodą; przechodniów przemoczono do koszuli. Effektowną tę zabawę zakończyła bójka na pięści pomiędzy strόżami bezpieczeństwa i spokoju a Bogu ducha winnymi mieszkańcami.

∽ W Austryi, mimo wszelkich zmian jakie zaszły na korzyść Galicyi i Czech, Szlązk po dawnemu stanowi ciemną stronę stosunków słowiańskich. Średniemi szkołami niemieckiemi przepełniony jest kraj gdzie na 270,000 Szlązaków niemieckich są trzy wyższe gimnazya niemieckie, cztery niemieckie szkoły realne, dwa gimnazya realne także niemieckie, cztery niemieckie zakłady dla nauczycieli i nauczycielek, i wreszcie niemiecka szkoła przemysłowa. A wszystkie te instytucye utrzymują się kosztem państwa. Tymczasem ludność polska i czeska na Szlązku licząca 300,000 mieszkańców, nie ma nawet dotychczas ani jednej szkoły średniej—czeskiej lub polskiej. Język czeski, w którym przez długie wieki toczyły się obrady sejmu czeskiego, oraz język polski, usunięte są z sądów i z urzędów publicznych. Germanizacya w każdym kierunku znajduje tam otwarte dla siebie drogi,—i szerzy się też coraz bardziej z krzywdą obu żywiołów słowiańskich,—pozbawionych wszelkiej opieki rządu, w obec ucisku jakiego doznają od złych swoich sąsiadów...

O tym Szlązku mało się w Austryi mówi, bo i w istocie, Niemcy nie mają czem się chwalić. Ale Polacy i Czesi powinni za to upominać się głośno i stanowczo, aby prawa ich ziomków w tej prowincyi więcej były szanowane

---

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa. Romanii K. w Sielnicy. Odpowiedź dla pani Maryi K. na jej wierszyk, do kobiety, bez niego samego, zrozumianą być nie może. Prosimy o wskazanie numeru w którym wierszyk ten był pomieszczony, bo wynaleźć go trudno. Czyby miał inny tytuł? Odpowiedź co do poemaciku: „Wesele Somki“, już dawno przesłaną została.

Pani Apoolnii T. Prenumerata Tygodnika kwartalnie z przesyłką pocztową wynosi rs. 2 kop. 50. Rubli 2 kop 7 odebrano. Prenumerata Ateneum rocznie w Warszawie wynosi rs. 9, z przesyłką pocztową rs. 10.

Zawiadomienie.

W odpowiedzi na zapytanie Korespondentów, podaję do wiadomości, że pan *Jan Hennel mechanik* zamieszkały *w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej № 63*—w pobliżu Ogrodu Saskiego, przyjmuje do naprawy maszyny do szycia wszelkiej konstrukcyi. Nadsyłane z prowincyi winny być pomieszczone w pudłach, okryte płótnem i dobrze opakowane sianem, aby zbyt wielkiemu w podróży nie uległy wstrząśnieniu; pedałowe zaś należy odśrubować od stołu i same nadsyłać—przytem uprasza się o adres wyraźnie napisany.

Za dobre wykonanie naprawy, umiarkowaną cenę i uczciwy stosunek z interesantem, poręcza

J. K. Gregorowicz

Redaktor Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 23 Сентября 1880 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 41 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

— Tak myślisz? rzekł sucho Ulryk.

— Jestem o tem najmocniej przekonany, i sambyś to widział, kochany Ulryku, gdybyś nie był tak zastarzałym kawalerem. Czyż ty oczu nie masz? Patrz tylko jak regularne ma rysy, jak piękną cerę i włosy, co łącznie z tak wymownemi oczami i ślicznemi ustami, utworzy z niej doskonałą piękność. Ah bo cóż to za oczy! zdają się wnikać do głębi duszy...

— Jeszcze kieliszek wina, Bertramie, rzekł Ford i zręcznie zmienił przedmiot rozmowy; do końca wieczoru już nie było najmniejszej wzmianki o Dorze.

Gdy Bertram wyszedł a służba udała się na spoczynek, Ulryk Ford zasiadł przy biórku, aby napisać list do mistress Bertram. Prosił aby mu opisała szczegółowo wszelkie szczegóły odnoszące się do owej pensyi w Antwerpii, a szczególniej aby objaśniła go czy nie mógłby zaraz oddać tam swej wychowanki — gdyż czuł to że skoro rozłączenie jest nieuchronnem, tem lepiej będzie im prędzej nastąpi. We trzy czy cztery dni później, odebrał najzupełniej zadawalniającą odpowiedź.

Mistress Bertram osoba z doświadczeniem i matka licznej rodziny, bardzo korzystnie wyrażała się o owej pensyi. Była zupełnie zadowolniona z umieszczenia na niej swych córek. Zakład ten zostawał pod kierunkiem pań Gobeaux i Little, Ketty i Helena nietylko wielkie w naukach czyniły postępy, ale nie mogły się odchwalić swego tam pobytu. Dalej wymieniała szczegółowo rozkład nauk, korrepetycye, ubiór, czas wakacyj i t. p. Przeczytawszy list, doktór odłożył go na bok, głębokie wydając westchnienie.

A więc nic nie stawało na przeszkodzie wykonaniu zamiaru jaki powziął tak niechętnie; nie było najmniejszej szparki którą mógłby się wymknąć ze spokojnem sumieniem. Mówił sobie że Dora jest za młoda aby ją tak daleko wysyłać z domu, ale zarzut ten obalają donosząc że Ketty i Helenka nie starsze od niej. Zdawało mu się że wychowanka jego za mało jeszcze umie aby mogła być oddaną na wyższą i tak słynną pensyę, ale mistress Bertram pisze że i jej córek edukacya nader była zaniedbana. Mówił sobie iż przyrzekł o ile to będzie w jego mocy czuwać nad szczęściem i spokojem Dory, ale dowiaduje się że siostry Bertrama, choć odłączone od czule kochających je rodziców i rodziny, czują się przecież zupełnie szczęśliwe. Tak więc wszelkie jego skrypuły były tylko wynikiem niechęci rozłączenia się z wychowanką, a nie zaś troską o rzeczywiste jej dobro, powinien więc zapanować nad sobą i spełnić swoją powinność. Gniewał się sam na siebie ilekroć dostrzegł że mogły go obchodzić lub smucić podobne małostki, gdyż uważał to za największe szaleństwo, za niegodną go słabostkę. To uczucie rozstrzygnęło o losie Dory, i jak tylko umówiono się z przełozonemi pensyi, doktór Ford sam odwiózł wychowankę do Antwerpii i powierzył ją ich opiece.

Gdy po paru dniach powrócił do Rockborough, miss Maryanna chcąc okazać radość swoją że nareszcie pozbyła się tej nieznośnej Dory, powitała go z najwdzięczniejszym uśmiechem i przygotowała jak najlepszy obiad, choć w gruncie złościła się bardzo że sam odwiózł tę nienawistną dziewczynę. Ale ani wyborne potrawy, ani uśmiechy miss Maryanny, nie zdołały rozmarszczyć zasępionego czoła doktora Ford; jadł mało, mówił jeszcze mniej, i zaraz po obiedzie przeszedł do swego pokoju; a gdy Wheler przyszedł prosić go na kawę, już go nie zastał w gabinecie, wyszedł z domu nie powiedziawszy ani słówka co robił i co widział w Belgii — i miss Ford z bólem serca zwierzyła się z tem serdecznej swojej przyjaciółce, miss Matyldzie Upjohn, bo choć objawiała największą obojętność na wszystko co tyczyło się Dory, bardzo ciekawa była szczegółów podróży.

— Doprawdy, dziwne to istoty ci mężczyźni. Wiesz, moja droga, że im lepiej ich poznaję, tem więcej winszuję sobie że zawsze trzymałam się od nich z daleka. Kiedy brat jest tak nieznośnym tyranem, jakimiż to muszą być mężowie!...

— Nie wiem, doprawdy, odpowiadała mizdrząc się miss Upjohn, będąca tego zdania że brat pewnej osóbki byłby bardzo pożądanym mężem dla niej. Wszyscy na tym świecie mamy jakiś krzyż do dźwigania, i byłoby tchórzostwem cofać się przed spełnieniem tego obowiązku — mówiła ta odważna panna; która pewnie nie cofnęłaby się przed krzyżem przedstawionym *przez męża*.

Ale mimo tych przyjacielskich zwierzeń, miss Ford mocno cierpiała nad tem iż brat nigdy ani słówka nie wspominał jej o Dorze, choć co tydzień grube listy odbierał z Antwerpii. Użalała się także na to iż coraz mniej z nią rozmawiał, widać, mówiła sobie, ma coraz więcej zajęcia, skoro coraz mniej czasu spędza w domu. Już nawet przed panną służącą coraz liczniejsze rozwodziła skargi, a nareszcie przyszła do wniosku iż kto wie czy nie weselej było w domu, gdy przebywała w nim córka Cecylii Fleming, i z bólem serca musiała wyznać sama przed sobą, iż wtedy nie tyle się nudziła, pomimo iż zawsze nie cierpiała tej dziewczyny.

X.

Dalszy ciąg pamiętnika Dory.

Pomijam tu wiele szczegółów z trzechletniego mego pobytu na pensyi, tak dla tego że nie są ani bardzo ważne ani zajmujące, jakoteż aby módz rozpisać się obszerniej o niektórych późniejszych wydarzeniach, które wielki wpływ wywarły na całe moje życie. W krótkości więc tylko opiszę tę epokę mego życia.

Obudziwszy się nazajutrz po owej wielkiej awanturze, dowiedziałam się że miss Penfold została stanowczo oddaloną, a następnie zauważyłam iż surowa władza i gwałtowne przewodzenie kuzyny Maryanny, zamieniły się w milczącą oziębłość, a nareszcie przeczuwałam iż ważna jakaś zmiana nastąpi niebawem w moim losie.

Jakoż po upływie kilku dni zostałam o niej zawiadomiona, kuzyn Ulryk powiedział mi iż postanowił oddać mnie na pensyę, i z wielkiem jego zadziwieniem, a nawet powiem rozczarowaniem, wiadomość ta nietylko mnie nie zmartwiła, ale nawet przyjęłam ją z pewną radością. Tak obawiałam się przybycia nowej nauczycielki, i surowej karności panującej w gabinecie kuzynki Maryanny, iż powitałam radośnie zapowiedź nowego życia, w gronie młodych towarzyszek, i ani pomyślałam ukrywać moje zadowolnienie. Uciechy mojej nie ostudziła nawet wiadomość iż mam udać się aż do Antwerpii i przepływać odnogę morską. Odległość i rozłączenie były to dla mnie próżne tylko słowa; tak mało co wiązało mnie z miejscem które opuścić miałam! Do jednego tylko kuzyna Ulryka szczerze byłam przywiązana, ale myśl że poznam nowy kraj, wynagradzała boleść rozłączenia.

Tak przynajmniej myślałam dopókąd nie nadeszła chwila rozstania się z moim opiekunem — wtedy odwaga moja jak mgła się rozwiała, płakałam tak gorzko jak po stracie matki. Kuzyn Ulryk odwiózł mnie sam aż na miejsce przeznaczenia; wówczas, w nieświadomości mojej uważałam to za rzecz bardzo naturalną, ale obecnie gdy myślą cofnę się w przeszłość, nie mogę wyjść z zadziwienia że doktór tak sławny i tak wzięty, chciał tracić czas swój i tak troskliwie zajmować się dziewczyną której prawie nie znał. A jednak tak było; jego troskliwa opieka, rozumna pieczołowitość i tkliwe starania tak podczas podróży koleją żelazną jak i podczas żeglugi statkiem, dozwoliły mi ocenić czem był i co tracę przez to z nim rozstanie. To też gdy przybywszy do Antwerpii powierzył mnie opiece wysokiej jasnowłosej Angielki, pani Little, i ładnej Belgijce, pani Gobeaux, zaczęłam zanosić się od płaczu i rzucając się w objęcia mego opiekuna, zaklinałam aby mnie zabrał z sobą napowrót do Rockborough. Pomimo iż okazywał mi wiele dobroci i przywiązania, jednakże pozostał niewzruszonym; przełożył mi tylko dla czego pobyt na pensyi uważa dla mnie obecnie za najwłaściwszy, i starał się dodać mi odwagi obietnicą że na wakacye przyjadę do Rockborough—poczem opuścił mnie nagle.

Z początku byłam niepocieszona; ani różne piękne podarunki jakiemi przed wyjazdem obdarzył mnie kuzyn Ulryk i zarazem przeznaczył mi bardzo pokaźną sumkę, na drobne moje wydatki, ani dwie młode milutkie Angielki, Ketty i Helena Bertram, nie zdołały mnie rozweselić i uspokoić. Pragnęłam tylko widzieć kuzyna Ulryka, czuć uścisk jego silnej a zarazem delikatnej dłoni; wpatrywać się w jego wlepione we mnie oczy, patrzące tak spokojnie i dobrotliwie, i czarny ogarniał mnie smutek, gdyż zdawało mi się że nigdy już nie zobaczę mego dobrego, ukochanego opiekuna.

Płakałam więc gorzko gdy odjechał, i ani młode moje rodaczki, siostry gentlemana którego widywałam u mego opiekuna; ani przełożone zakładu, nie mogły utulić mojego smutku. Nareszcie położono mnie do łóżka i wkrótce zasnęłam głęboko, i dopiero sen ukoił bolesne wrażenia rozstania i dał zapomnieć o trudach podróży.

Nazajutrz odzyskałam zwykłą mi wesołość, bo

dziecinne zmartwienia prędko przechodzą, a potem wszystko tu było dla mnie tak nowe, ciekawe i zajmujące. Dalej zaraz po przebudzeniu mogłam zmiarkować że zajęłam na pensyi jakieś wyższe stanowisko, dzięki niezwykłej hojności mego opiekuna przy zawarciu umowy, tak odnośnie do mojej edukacyi jak i utrzymania, oraz pięknej wyprawy jaką mnie obdarzył, co wszystko oddziałało magicznie na moje współtowarzyszki,—to też od pierwszego zaraz dnia wyprzedzały się w uprzejmości dla mnie i grzecznościach. Wszystkie starały się najbliższe ze mną zawrzeć stosunki, a ja zadowolniona podnosiłam dumnie moją ograniczoną głowę, tak wysoko jakby jaka sawantka lub królowa.

Pensyonarki umieją zwykle pochlebiać jak prawdziwi dworacy, a te ze współuczennic które one wynoszą nad inne, najniezawodniej w niedługim czasie staną się pyszne i zarozumiałe.

Te szczególniejsze względy jakie wszyscy okazywali mi na pensyi, dadzą się chyba wytłomaczyć wielką hojnością mego opiekuna, oraz pogłoską jaka rozeszła się na pensyi, że jestem spadkobierczynią *lorda milionera*. W każdym razie pochlebiało mi to bardzo i ułatwiało zawiązanie stosunków z pensyonarkami, chroniąc od nudów i odosobnienia jakie zazwyczaj w pierwszych dniach bywają udziałem nowo przybyłych uczennic.

Na pensyi pań Little i Gobeaux były uczennice różnej narodowości; przybyłe ze stałego lądu były katoliczki, Angielki zaś protestantki, i te były po większej części wyższego urodzenia, niż ich towarzyszki cudzoziemki, ponieważ znakomitsze rodziny z krajów stałego lądu nie oddają swoich córek na pensye prywatne ale do klasztorów. Tak więc koleżanki jakie Angielki napotykają w tych zakładach i od których uczą się mówić po francuzku, są to zazwyczaj córki mieszczan lub bogatych przemysłowców. Nie mówię tego w chęci poniżania ich gramatyki lub towarzystwa, ale dla wykazania wpływu jakie stosunki wywarły w dalszem mojem życiu.

Rozległy i okazały gmach w którym mieściła się nasza pensya, był to dawny klasztor; wznosił się w środku ogrodu, otoczonego ze wszech stron grubym i wysokim murem. W tym to ogrodzie przechadzałyśmy się po lekcyach, i wszystkie spacery nasze odbywały się jedynie po cienistych jego alejach, i wyjąwszy do kościoła, nader rzadko wolno nam było przekraczać otaczające mury!

Było nas sto pensyonarek oprócz przychodnich, a samych Angielek dwadzieścia. Były krępe Holenderki o wyrazistych i grubych rysach twarzy; potulne i mdłe Niemki, nie bardzo pojętne; Belgijki z ładnemi błękitnemi oczami i figlarną minką, i blade, z kruczemi włosami Francuzki,a choć wszystkie nosiłyśmy jednakowo przepisane ubranie, mimo to tworzyłyśmy bardzo widoczną mieszaninę. Mundurki nasze były jednakowe w lecie i w zimie. W dnie powszednie nosiłyśmy wązkie sukienki z czarnej alpagi i szeroką jakby do orderu przepasaną wstęgę niebieską, na której wyhaftowany był numer klassy. W niedzielę i święta przywdziewałyśmy suknie czarne jedwabne, z białemi kokardami na ramionach; kapelusze czarne przybrane plisowaną wstążką. W zimie dopełniał ubrania czarny sukienny płaszczyk, sięgający do kolan. Zdawało się że skromny ten ubiór nie dopuszcza pretensyi i próżności, jednakowoż przekradały się one przez najciaśniejsze pozostawione szczeliny, objawiając się już to przez podniesienie lub podwinięcie włosów, już przez sposób zarzucenia wstęgi. Naśladowałyśmy w tem poddanych zupełnie pozbawionych wolności, którzy w jej braku uciekają się do swawoli. Jak mnie się przynajmniej zdawało, za krótko nas trzymano. Miałyśmy wprawdzie życie bardzo dobre, potrawy zdrowe i smaczne, ale guwernantki zanadto nas pilnowały. Zapewnie była to dobra zasada aby strzedz bacznie powierzonych sobie, oddalonych od rodziny dziewcząt, ale niestety! wyradzała często chęć podejścia i ominięcia surowych przepisów i baczności nauczycielek.

Nigdy nie zostawiano nas samych, zawsze jedna z guwernantek obowiązana była nas pilnować, ale niektóre z nich dawały się ująć niekiedy pieszczotą lub podarunkami; niektóre szczególniej z koleżanek moich miały osobliwszy dar usypiania czujności naszych argusów, i rozmyślały codziennie nad wynalezieniem odpowiednich ku temu środków.

Wykładano nam nauki według systemu przyjętego w szkołach publicznych; jest on może bardzo dobry dla uczennic już trochę posuniętych w naukach, ale nader trudny i męczący dla nic nie umiejących. Przez cały dzień professorowie i nauczycielki nieustannie zmieniali się na katedrze; ale wyznać muszę że w pierwszych tygodniach mego pobytu na pensyi umiałam tylko spuszczać oczy i rumienić się ilekroć zadawano mi pytanie, aż jedna z koleżanek przyszła mi z pomocą, objaśniając że nie rozumiem po francuzku. Nareszcie nabrałam odwagi, a że byłam ambitna i nie brakło mi zdolności, wkrótce tyle nauczyłam się po francuzku iż mogłam zrozumieć wykład, a raz włożywszy się do nauki; prędkie czyniłam postępy. Byłam zdrowa i silna, umysł miałam otwarty i bystre pojęcie, a nadto byłam właśnie w tym wieku kiedy już nauka nie nuży ale budzi zajęcie, a gdy jeszcze udało mi się odznaczyć w swojej klassie i czułam że coraz więcej umiem, byłam z tego dumna i szczęśliwa. Gdy tedy nadszedł czas wakacyj i miałam z pannami Bertram jechać do Rockborough, byłabym chętnie została na pensyi, gdyby nie gorąca chęć zobaczenia kuzyna Ulryka.

W Rockborough spotkała mnie niespodzianka; powiedziano mi że nie zostanę tam na wakacye, ale przepędzę je w ładnej wiosce Oxley, w której mieszkała rodzina Ketty i Helenki Bertram. Dowiedziawszy się o tem, z początku przykro mi się zrobiło, ale wkrótce pocieszyłam się i nawet bardzo byłam zadowolniona z mego pobytu u Bertramów, bo byli dla mnie tak dobrzy jak gdybym należała do ich rodziny, dozwalali biegać po łąkach i po lesie, gospodarować w ogrodzie razem z memi młodemi koleżankami, to też całe sześcio-tygodniowe wakacyje przeszły mi bardzo wesoło i przyjemnie.

Niech nikt nie myśli że przez ten czas nie widywałam mego kuzyna; przez ciąg mego pobytu w Oxley przyjeżdżał tam bardzo często, a za każdym razem witałam go serdecznie, z niewypowiedzianą radością. Podarował mi ślicznego, doskonale wytresowanego poneya, na którym przejeżdżałyśmy się kolejno, ja, Ketty i Helena, Powiedział mi że bardzo jest ze mnie zadowolniony, ponieważ pani Little w liście pisanym do niego, chwali bardzo moje sprawowanie się i postęp w naukach, a gdy miałam odjeżdżać, dał mi śliczny zegareczek ze złotą dewizką, co mnie nadzwyczaj uradowało. Przez całe wakacye nie widziałam się z kuzynką Maryanną, a nawet o ile sobie przypominam ani razu nie zapytałam o nią.

Drugi rok pobytu mego na pensyi spędziłam przyjemniej jeszcze, bo oswoiwszy się z miejscowością i zwyczajami pensyi, czułam się jakby w domu własnym, a nadto zaczynałam zdawać sobie sprawę z moich zdolności umysłowych i okazało się że mam talent do rysunku i malowania, co przyznawali mi właściwi professorowie.

Powróciłam do Rockborough na wakacye poprzedzające święta Bożego Narodzenia; byłam wtedy już o parę cali wyższa, a w usposobieniu i obejściu mojem szczęśliwa zaszła zmiana. Sama wtedy zrozumiałam jak złą i niesforną musiałam wydawać się kuzynce Maryannie podczas pierwszego mego pobytu, i jak zakłócałam spokój cichego tego domowego ogniska, to też postanowiłam sobie znosić choćby największe przykrości, byle nie zasmucać kuzyna Ulryka. Miss Ford przyjęła mnie zimno, ale ani słówkiem nie przypominała przeszłości; a gdy po upływie kilku dni widziała zmianę mego postępowania, sama zaproponowała mi abym jej towarzyszyła w przechadzkach i nigdy nie powiedziała mi nic przykrego, ale za to, niestety! kuzyn Ulryk był daleko mniej serdeczny dla mnie niż w Oxley, co nader wielką sprawiało mi przykrość; byłam jeszcze za młoda aby zrozumieć powód tej zmiany.

Wakacye przeszły spokojnie; żegnając się zrosiłam łzami śniadą twarz mego kuzyna, ale i z kuzynką Maryanną smutno mi było się rozstawać, bo choć wiedziałam że nigdy nie będzie mnie kochać tak jak kuzyn Ulryk, byłam teraz za rozsądna aby się gniewać za jakieś nierozmyślnie wymówione słówko tak więc mogę powiedzieć że od owego czasu żyłyśmy z sobą dość zgodnie, choć bardzo często różniłyśmy się w zdaniach. Upłynął drugi rok mego pobytu w Antwerpii, w ciągu którego dwa razy przyjeżdżałam do Rockborough; muszę wyznać że teraz z coraz większą niecierpliwością wyczekiwałam chwili powrotu do domu, i za każdym razem z coraz większym żalem żegnałam się z moim opiekunem.

Była to wiosna, zaczęłam rok piętnasty, powróciłam na pensyę z Ketty i z Helenką i jak zwykle zaszły tak niejakie zmiany podczas naszej nieobecności; ubyło kilka starszych koleżanek, a na ich miejsce zastałyśmy z dziesięć nowych. Pomiędzy niemi była młoda dziewczyna którą muszę przedstawić zaraz, gdyż odegrała ważną rolę w wypadkach które wywarły pewien wpływ na moją przyszłość. Była to Belgijka, nazwiskiem Felicyta d'Alvan, i polubiłyśmy się bardzo od pierwszej chwili poznania.

Nowa moja koleżanka była ładna blondynka, szczupła, średniego wzrostu, miała biało różową cerę i śliczne niebieskie oczy, chwilami niewinne jak u dziecka, to znów figlarne i złośliwe, ale zawsze czarujące. Była to pierwsza cudzoziemka z którą ściślejsze zawarłam stosunki; ja miałam lat piętnaście, ona siedemnaście; od pierwszego wejrzenia tajemniczy jakiś magnes pociągał nas ku sobie, a im bliżej poznawałyśmy się z sobą, tem przyjaźń ta głębsze w sercach naszych zapuszczała korzenie.

Panny Bertram były dobre i uprzejme, ale wydawały mi się za naiwne i za powolne, i daleko więcej podobała mi się Felicyta, żywa; wesoła, dowcipna, mająca zawsze coś zabawnego do opowiedzenia. A potem daleko dojrzalsza odemnie, wiedziała wiele rzeczy o których nie miałam najmniejszego wyobrażenia, i rozprawiała o wszystkiem jak skończona, światowa kobieta. Pod względem nauk ja umiałam daleko więcej, ale to nie osłabiało ale przeciwnie ścieśniało łączące nas węzły. Towarzystwo Felicyty dodawało mi bodźca do nauki; ona znów pomierzała mi wszystkie swoje myśli, podzielała przyjemności i zabawy, i nim miesiąc upłynął stałyśmy się nierozłącznemi przyjaciółkami.

Nie było to jednak stosowne dla mnie towarzy-

stwo, gdyż jak to powiedziałam Felicyta wiedziała o wielu rzeczach zupełnie nie wchodzących w program moich nauk, i obznajmiała mnie z wiadomościami których mogłam nie znać jeszcze lat kilka— tak więc w przedmiotach nie wykładanych na pensyi, byłam jej uczennicą, i z tego tytułu wywierała na mnie wpływ jaki mają młode kobiety na ciekawe dziewczęta, które przestały być dziećmi a nie są jeszcze dorosłe. Wierzyłam jak w Ewangelię wszystkiemu co mi mówiła, uważałam ją za doskonałość, i miałam nadzieję jej dorównać, skoro dziś już uznała mnie godną swej przyjaźni. Przyjaźń nasza nie uszła losu jej podobnych, w których zawsze jedna strona stanowczą ma przewagę, tak tedy Felicyta jak to mówią prowadziła mnie za nos, a ja byłam jej najpokorniejszą niewolnicą. Mówiła mi że przepisy obowiązujące na naszej pensyi są stokiem niedorzeczności, to nie szkoła ale klasztor. Czy podobna aby nie wychodzić nigdzie prócz do kościoła? a jeźli kiedyś przekroczymy mury naszego więzienia, to zawsze w kierunku przeciwnym od miasta? Czy to być może abym dotąd nie zwiedzała katedry, muzeum, kościoła Ś. Piotra? Czy podobna abym mieszkając od dwóch lat w Antwerpii, nie była dotąd w ogrodzie zoologicznym, i nie znała nawet nazwy ulic któremi przechodzę do kaplicy anglikańskiej? A to nie do uwierzenia, mówiła, a dziewczęta tak nie ciekawe i nie żądne przygód, według mnie nie warte i złamanego szeląga. Ale czegóż można się spodziewać po Niemkach i Holenderkach, a co i do Angielek, daruj ale muszę powiedzieć prawdę, ty jedna z nich masz w sobie wiele *szyku.*— Nie wiedziałam wtedy co ten *szyk* ma znaczyć, ale zrozumiawszy że ma to być komplement, i byłam zadowolniona.

Powstawanie Felicyty na zbyt ścisły nadzór, bardzo trafiało do mego przekonania, bo ileż to razy brała mnie chęć zwiedzenia starożytnego grodu i jego osobliwości. Jakże nie raz zazdrościłam koleżankom katoliczkom, które codziennie chodziły z panią Gobeaux na mszę do kościoła, brały udział we wszystkich processyach i obchodach religijnych, podczas gdy my, biedne protestantki musiałyśmy siedzieć w domu, i słuchać pani Little nosowym głosem wykładającą nam przypadającą na ten dzień Ewangelię.

Żarty i drwinki Felicyty z religii w jakiej byłam wychowana, i jej namowy abym jak najprędzej zmieniła wyznanie, drażniły mnie i niepokoiły, zatruwając mi dotychczasowy spokój. Ja dotąd tak szczęśliwa, teraz często bywałam w złym humorze, oburzałam się na surowy dozór, i ulegając coraz więcej wpływowi Felicyty d'Alvan, gotowa byłam zbuntować się na każde jej wezwanie.

Pewnego razu przyjaciółka moja wyznała mi pod wielkim sekretem, iż wcale nie dobrowolnie opuściła pensyę na której była w Bruxelli, lecz że ją o to *poproszono* i to za bardzo małe przewinienie. Bo wystaw sobie jakież to dopuściłam się zbrodni— oto odebrałam list od jednego z moich wielbicieli, i odpisałam na niego. Jakże to ograniczona musi być taka przełożona pensyi, skoro może żądać żeby panna w moim wieku nie miała wielbicieli!...

Rodzice tedy odebrali ją i odwieźli do Antwerpii. „Ale niech cię Bóg broni, mówiła, żebyś aby słówko pisknęła o tem; nigdy nie darowałabym ci tego i skończyłaby się nasza przyjaźń. Bo gdyby tylko przełożone pensyi dowiedziały się o tem, pilnowałyby mnie jeszcze ostrzej, i nie mogłabym bawić się i żartować, a wiedz o tem że chce śmiać się, bawić, słowem używać życia.

Słuchając tych zwierzeń robiłam wielkie oczy i nadstawiałam uszy. *Wielbiciel! Kochanek!* już same te nazwy przenosiły umysł piętnastoletniej nowicyuszki w sfery nieznanych rozkoszy; wyradzały złote rojenia nie mogące się urzeczywistnić przed upływem dwóch lat jak wiek długich.

A przecież Felicyta poznała już tę rozkosz,—miała kochanka! Oh! jakże pragnęłam wypytać się jej o wszystkie odnoszące się do tego szczegóły, wiedzieć jak wygląda jej wielbiciel, jakiemi słowami wyznawał jej miłość swoją!

Słuchając tych naiwnych pytań, moja Belgijka uśmiechała się z politowaniem, zapewniając że nie będzie mi się to wydawać czemś szczególnem, gdy będę w jej wieku, i także będę mieć wielbicieli. „Co do mnie, dodała, choć młodzieniec o którym mowa jest bardzo piękny (jest to Anglik Ernest Moore) jednak stanowi on tylko jednostkę w gronie moich wielbicieli, i nie więcej dbam o niego jak o innych.“ Usłyszawszy to, wyższe jeszcze powzięłam wyobrażenie o mojej przyjaciółce, a gdy jeszcze dodała: „Spodziewam się że przecie żaden z moich wielbicieli nie przybędzie do Antwerpii nudzić mnie i prześladować swojemi wyznaniami“ — uwielbienie moje dla niej nie znało granic.

Było to lato; codziennie idąc do kościoła mogłyśmy widzieć całe szeregi afiszów, zapowiadających najprzeróżniejsze zabawy i koncerta po ogrodach, —jakże gorąco pragnęłam być na nich obecną. A dodać jeszcze muszę że niemal co wieczór miss Little, pani Gobeaux i niektóre nauczycielki, bywały na koncertach dawanych w Ogrodzie Botanicznym lub Zoologicznym, skąd nigdy nie wracały wcześniej jak po północy, a my biedne pensyonarki siedziałyśmy w domu kwaśne i znudzone, mając za całą rozrywkę zadane na następny dzień lekcye. Wprawdzie nie byłyśmy zostawione zupełnie bez dozoru, kazano czuwać nad nami bonie Niemce, której zwykłem zadaniem było cerowanie naszych pończoch i pilnowanie porządku w klassach.

Pewnego poranku byłam posępniejsza i więcej rozdrażniona niż zwykle, bo ledwie otworzywszy oczy, Felicyta wyrzekała i powstawała nadzwyczaj na system więzienny zaprowadzony na naszej pensyi, a wykład Pisma Św. przez panią Little był więcej jeszcze niż zazwyczaj. Zamyślona, szłam do refektarza gdzie odgłos dzwonka przyzywał nas na śniadanie, gdy wtem spotkałam w korytarzu Felicytę wracającą ze Mszy. Spostrzegłam z niemałem zadziwieniem jak do niepoznania fizyognomia zmieniła się przez tę godzinę; wychodziła chmurna, prawie gniewna, a teraz dostała mocnych kolorów, oczy błyszczały ożywione widać jakąś tajemną nadzieją. Objęłam ją czule wpół, prosząc aby mi powiedziała co ją tak ucieszyło; położyła palec na ustach, zalecając milczenie dopókąd nie będziem same. Z jakąż to gorączkową niecierpliwością oczekiwałam tej chwili! Zeszłyśmy się nareszcie w klassie opuszczonej czasowo przez uczennice.

— Co ci się stało, Felicyto? zawołałam.

— A czy dasz mi słowo że zrobisz o co cię będę prosić?

Jako młoda i rozrucona przyrzekłam nie wiedząc o co chodzi; nie byłam jeszcze w tym wieku, w którym powiedziawszy *zrobię to* przezorność każe dodać: *jeźli to będzie w mej mocy.*

— Doskonale! zawołała radośnie uderzając w dłonie. Wy, Angielki, macie tę zaletę, że jeźli która coś przyrzecze to dotrzyma. Mogę więc liczyć na ciebie; a wiesz dobrze; dodała, wspierając głowę na mojem ramieniu, że największa przyjemność mnie nie nęci, jeźli nie mogę podzielić jej z tobą.

— Ale czegóż żądasz odemnie? zapytałam, zaniepokojona czy nie przyrzekłam za wiele.

— Eh! nic, chodzi o drobnostkę, ale przysuń się, bo i ściany miewają uszy. Oto chciałam tylko powiedzieć ci że pójdziemy na koncert do Ogrodu zoologicznego.

— Do Ogrodu Zoologicznego! zawołałam odskakując parę kroków; więc ochmistrzyni pozwoliła?...

— Jakaś ty naiwna że możesz to przypuszczać! Prędzej strażnik więzienia otworzyłby drzwi swoim więźniom, niż pani Gobeaux lub miss Little choć pomyślałaby o tem, aby dwom najładniejszym swoim pensyonarkom pozwolić iść na koncert do Ogrodu Zoologicznego. Doprawdy pocieszna jesteś, kochana przyjaciółko.

— Więc jakimże sposobem będziemy tam?

— Jakim sposobem! takim jak byłam w Bruxelli, po prostu *podstępem* i nikt wiedzieć o tem nie będzie. Spuść się na mnie; nie proponowałabym tej wycieczki żadnej z moich koleżanek, bo ani jedna tego nie warta; jest to po prostu stado ograniczonych *fraülein,* pozbawionych wszelkiego *szyku.* Ty co innego; jesteś ładna, rozumna i odważna, a nadto dałaś mi słowo.

Gdyby nie to nieszczęsne przyrzeczenie, byłabym zapewnie odmówiła, gdyż pomimo mojej przyjaźni dla Felicyty i gorącej chęci poznania świata, czułam że źle postąpię, — ale ciekawość, fałszywy wstyd, i obawa aby nie zostać zaliczoną do lękliwych Niemek i ograniczonych Holenderek, zagłuszyły głos rozsądku, — obiecałam dotrzymać przyrzeczenia. Raz powziąwszy stanowcze postanowienie, pragnęłam już tylko dowiedzieć się jakim sposobem zamiar nasz doprowadzimy do skutku,—ale Felicyta nic mi nie chciała powiedzieć, a może i sama jeszcze dobrze nie wiedziała. Prosiła żebym się tem nie kłopotała i była pewna urzeczywistnienia zamiaru „bo że pójdziemy, to pewna jak dwa a dwa cztery.“

— Ale dla czego właśnie dzisiejszy wieczór obrałaś? zapytałam prędko, bo słychać było kroki uczennis wracających do klassy.

Spojrzała na mnie porozumiewająco swemi figlarnemi oczyma, i rzekła cicho po francuzku.

— Nie pytaj, dowiesz się wieczór.

XI.

Dalszy ciąg pamiętnika Dory.

Łatwo pojąć że myśl o tak nadzwyczajnej przyjemności jakiej miałam doznać tego wieczora, odrywała dnia tego uwagę moją od nauki, choć co prawda nie obiecywałam sobie wielkiej zabawy na tej nocnej wycieczce; nie nawykła do podobnych wybryków, drżałam na samą myśl że spisek nasz może zostać odkryty. Lecz z drugiej znów strony tak niezachwianą pokładałam ufność w przebiegłości i rozumie mojej przyjaciółki, iż paliła mnie ciekawość jakim też sposobem potrafi uśpić czujność naszych Argusów.

Nigdy popołudnie nie wydało mi się tak nieskończenie długiem; minęło przecież a wraz z niem i dzienne nasze zajęcia.

O piątej professorowie i przychodnie uczennice opuściły pensyę; o siódmej pani Gobeaux, miss Little i kilka nauczycielek wyszły strojnie ubrane, a o dziewiątej tylko dwie bony Niemki, fraülein Netta i fraülein Graub czuwać miały nad trzodą

owiec, ale więcej może bały się swoich owieczek niż owieczki ich.

Widząc że trzódka zachowuje się zupełnie spokojnie, fraülein Graub poszła do swego pokoju pisać listy, zostawiając dozór nad nią potulnej i krótki wzrok mającej Netcie, która trzymając pod samym nosem nasze pończochy, cerowała je jak najuważniej siedząc przy samym końcu długiego stołu, przy którym odrabiałyśmy lekcye. Felicyta przysunęła się i szepnęła mi do ucha:

— Porzuć robotę za pierwszem uderzeniem dzwonka; trzeba nam wejść i zejść zanim wszystkie przejdą do sypialni.

Drżąca spełniłam jej polecenie. Sypialnie nasze urządzone były w następujący sposób.

Z dwóch stron długiego korytarza ciągnęły się pokoje sypialne, małe, bo dawniej były to cele zakonnic. W każdym było cztery łóżka, dwa dla najmłodszych, dwa dla starszych uczennic. Zapewnie dla tego tak rozporządzono, abyśmy się przyuczały zajmować młodszemi koleżankami. Prócz łóżek i paru krzeseł w żadnym z tych pokoi nie było innych sprzętów, gdyż ubieralnia była wspólna, a suknie uczennic wisiały w wielkiej sali leżącej w końcu korytarza. W każdej celi paliła się lampa.

Młodsze pensyonarki już o ósmej udawały się na spoczynek, a o dziewiątej odzywał się dzwonek zwołujący znów starsze do sypialni. Na rozbieranie wyznaczone było pół godziny, poczem jedna z wymienionych bon obchodziła sypialnie i gasiła lampy, a gdzie były już zgaszone, zamykała tylko drzwi. Trzeba przyznać że podobny regulamin ułatwiał nam pierwszą część zadania.

Tego wieczora jak tylko dzwonek się odezwał, natychmiast poszłam z Felicytą do naszej sypialni; dwie towarzyszki nasze, dziewczynki od lat ośmiu do dziesięciu spały już dawno. Felicyta wyciągnęła prędko z pod łóżka dwa czarne pakiety, i rzekła podając mi je:

— To nasze płaszcze, nic nam więcej nie potrzeba, wychodźmy prędko.

— Ach! jakimże sposobem mogłaś je dostać Felicyto?

— Nie kłopocz się tem, dowiesz się później, teraz nie mamy czasu do stracenia.

I zgasiwszy lampę kazała mi prędko zbiedz ze schodów, przy których spotkałyśmy tłum pensyonarek; zdawało się że razem z niemi dążemy do sypialnych pokoi.

— Dobranoc, fraülein, dobranoc, wołano ze wszech stron; poczem dziewczęta różnej narodowości pobiegły na schody, a my skręciłyśmy w pusty korytarz prowadzący do ogrodu.

— Jakimże sposobem wydostaniemy się stąd? zapytałam, widząc że prowadzi mnie w bardzo oddaloną aleję.

— Mam klucz od drzwi w kracie, odrzekła. Nie jestże to genialny pomysł? nikt nigdy nie przechodzi tędy, będziemy więc mogły wchodzić i wychodzić kiedy zechcemy.

— Ależ zamkną drzwi od korytarza?

— Nie bój się o to, wyjęłam klucz ze drzwi i rzuciłam go w krzaki, tak więc dziś Zuzanna nie będzie mogła zamknąć, a nic mnie nie obchodzi co zrobią jutro. Ale cóż to, drżysz moja przyjaciółeczko? przecież nie powiesz iż nie spodziewasz się zabawić przyjemnie?

— O! nie, mam nadzieję że się zabawimy wybornie; ale przypuśćmy że się to wyda, cóż poczniemy?

Moja towarzyszka pogardliwie roześmiała się z moich obaw.

— Jakież z ciebie dziecko, rzekła drwiąco. I czegóż się tak boisz? Mówię ci że nie ma obawy aby miss Little i pani Gobeaux nas poznały; a z resztą jakiż urok miałaby nasza wycieczka gdyby żadnych nie przedstawiała trudności?... Ach! znać że jesteś Angielką!

— Więc sądzisz że te panie nie będą dziś w Ogrodzie Zoologicznym? zapytałam prawie uspokojona.

— Przeciwnie, wiem doskonale że tam będą i one i cała Antwerpja, bo to koncert nadzwyczajny.

— Więc mogą nas zobaczyć?

— W takim tłoku!... Widać że jesteś nowicyuszka i nie masz pojęcia o podobnych zabawach. Choćbyśmy się oko w oko spotkały z naszymi Cerberami, dość byłoby nasunąć kapturki na głowę.

To powiedziawszy pociągnęła mnie za sobą, i przyznać muszę iż nie potrzebowała tak się wysilać na to, jak na otworzenie zardzewiałego zamku od drzwi w kracie; dokazała jednak tego i wyszłyśmy z ogrodu, poczem Felicyta zamknęła napowrót furtkę i klucz włożyła do kieszeni, mówiąc: „Pani Gobeaux i miss Little nie powrócą przed północą, my zaś powinnyśmy być w domu przed jedenastą, a tak nikt nie spostrzeże naszej nieobecności.“

Choć latarnie się paliły, ale księżyc nie wszedł jeszcze, było więc dość szaro i małe nasze czarno odziane osóbki mogły się przesuwać prawie niespostrzeżenie. Wzięłyśmy się pod ręce, zwracając swe kroki gdzie nas upragniona czekała zabawa.

Ogród zoologiczny znajdował się tuż obok dworca kolei, a więc blizko o pół wiorsty od naszej pensyi; biegnąc lekko i szybko, przeleciałyśmy tę przestrzeń prędzej niżby taka odległość wymagała. Felicyta opisywała mi cuda jakie zobaczyć miałam; słuchałam z nadzwyczajnem zajęciem, gdy nagle zamilkła i mocno przyciskając do siebie moją rękę, prędko zawróciła na prawo. Zadziwiona podniosłam oczy i spostrzegłam jakiegoś młodego mężczyznę, grzecznie zbliżającego się do nas.

— Panna d'Alvan! zawołał, jakżem szczęśliwy że panią spotykam!... nie śmiałem nawet marzyć o tem.

— A! i ja ani przypuszczałam że się zobaczymy w Antwerpii... co pan tu robisz?... odrzekła z doskonale udanem zadziwieniem. Poczem zwracając się do mnie, najswobodniej w świecie przedstawiła mi młodego gentlemana: pan Ernest Moorre!

Z wielkiem zajęciem przypatrywałam się zakochanemu młodzieńcowi, który jak to przewidywała Felicyta, przyleciał za nią aż do Antwerpii. Mógł mieć około dwudziestu lat, był szczupły, dość wysoki, brunet, zdawał się należeć do wyższego towarzystwa, ale nie odpowiadał bynajmniej postaci jaką w mojej wyobraźni powinien mieć kochanek. Zdawał się bardzo uszczęśliwiony tem spotkaniem.

— Felicyto, czy jesteś pewna że ten pan nie powie nikomu że mnie widział? szepnęłam jej do ucha.

— Tak się spodziewam, odpowiedziała, poczem śmiejąc się powtórzyła swemu towarzyszowi to samo pytanie. Naturalnie że przyrzekł dochować tajemnicy, a nadto powiedział że będzie miał sobie za największy zaszczyt, jeźli mu pozwolimy zaprowadzić się na koncert a następnie odprowadzić do domu. Felicyta przyjęła ofiarę i podziękowała uprzejmie, a że już dochodziłyśmy do ogrodu, nasunęłyśmy głębiej kapturki. Pan Moore zapłacił bilety i weszłyśmy śmiało.

Przekonałam się później że to niby przypadkowe spotkanie dwoja zakochanych, było po prostu umówionem *rendez-vous* ale wówczas byłam jeszcze tak naiwna, iż ani na myśl mi to nie przyszło. Nie mogłam nigdy dojść jakim sposobem Felicyta zdołała się porozumiéć, wyznaczyć dzień i miejsce spotkania,— była to tajemnica znana tylko niebu i sumieniu mojej przyjaciółki. Czy porozumiała się za pomocą którejś z przychodnich, czy rano w kościele umówiła się z wielbicielem—(co kazało wnosić niezwykłe jej ożywienie gdy wróciła) w każdym razie plan był dobrze obmyślany i mistrzowsko przeprowadzony. Wszedłszy do ogrodu i zająwszy miejsca, przyjaciółeczka moja szeptała coś ciągle z ukochanym, nie troszcząc się o mnie—ale i umysł i wyobraźnia moja dostatecznie były zajęte wszystkiem co mogłam widzieć do koła. Tak ciekawie i z takiem zajęciem przyglądałam się wszystkim i wszystkiemu, iż zupełnie zapomniałam o obawie spotkania się z naszemi ochmistrzyniami. Ale patrząc na te liczne tłumy, pojmowałam spokojność i pewność Felicyty, bo trudno byłoby rozpoznać i wynaleźć w nich osoby których szukałoby się wiedząc o ich obecności, a cóż dopiero dwie dziewczyny które w ich przekonaniu najniezawodniej spały spokojnie w swoich celach.

W środku ogrodu wznosiła się rotunda, osłonięta pnącemi się kwiatami, i oświetlona weneckiemi latarniami. W tym pawilonie mieściła się pierwszorzędna orkiestra, wygrywająca najharmonijniejsze melodje. W koło rotundy rozstawione były różne klatki i zagrody w których znajdowały się dzikie zwierzęta, które te liczne światła i muzyka w szczególniejsze wprawiały usposobienie, w różny objawiające się sposób. Około tego miejsca porozstawiana była niezliczona liczba stolików, przy których siedziały po trzy lub cztery osoby; jedni palili, drudzy śmieli się i rozmawiali, inni zapijali piwo, kawę lub limoniadę, a służba uwijała się czekając na rozkazy. Hej! garson! wołano na wszystkie tony, i nuta ta mięszała się z muzyką. W przedziałach pomiędzy stołami, wesołe dzieciaki fantastycznie poubierane, tańczyły w takt muzyki trzymając się za ręce. tłumy przechadzały się po szerokich alejach. Nader piękne oświetlenie, śliczna muzyka, bogate i eleganckie stroje, szmer tysięcy głosów tak mnie bawiły i osołamiały, iż ani na myśl mi nie przyszło słuchać o czem rozmawia moja towarzyszka, a że z powodu nielegalności naszego przybycia, musiałyśmy trzymać się alei odleglejszych i mniej oświetlonych, mogłam więc swobodnie rozpatrywać się we wszystkiem, nie ściągając na siebie oczu ciekawych.

Po krótkiej rozmowie z Felicytą, *cavaliero servanto* oddalił się lecz powrócił za chwilę ze służącym niosącym stolik i krzesła który ustawiliśmy na uboczu, i tam podawano nam cośmy tylko zażądały. Było nam miło, rozkosznie, uroczo, i powtarzałyśmy to co chwila, racząc się przysmakami pod opiekuńczym cieniem drzew. I byłybyśmy chętnie przesiedziały tak noc całą, słuchając muzyki i zbierając wzorki z przesuwających się osób, ale było już po dziesiątej, a trzeba nam było wracać przed jedenastą. Felicyta nie chciała od tego odstąpić.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 41.

(Dalszy ciąg).

N. 7 — 8. Ubranie spacerowe z vetement. Krój Nr VIII, Fig. 38—46.

Na modelu spódnica atłasowa oliwkowego koloru, ułożona była w płaskie fałdy, kaszmirowe vetement formą princesse nie zchodzące się od dołu z przodu, podpięte było i przyczepione w koło do spódnicy. Chcąc żeby fałdy lepiej się układały, trzeba całe vetement podszyć lekką wełnianą podszewką. Formę vetement dopełnić od dołu jak na zmniejszonym rysunku; podług miar podanych. Do zwierzchniej części przodów wykrojonej podług Fig. 38 dodaje się część podaną na fig. 39. Od D do gwiazdki przody zachodzą na krótkie boczki, i są podług krzyżyków i kropek przyfałdowane, a od gwiazdki do dwu kropka z plecami zeszyte. Od dwukropka przody i plecy nie zeszyte rozchodzą się aż do dołu. W miejsce kołnierzyka podanego na Fig. 44 można dać garnirunek bufowany widoczny na ryc. 7, którego miejsce oznaczone jest linijką na Fig. 38. Układa go się z 11 cent. szerokiego skośnego paska atłasu, przemarszczonego w poprzeczne bufki i oszytego koronką; odpowiedni garnirunek zdobi rękawy. Fason ten doskonale się nadaje na vetement z tureckiego materyału, służącego do atłasowej spódnicy.

N. 12—13. Płaszczyk jesienny z kapturkiem. Patrz ryc. 29. Krój Nr IV, Fig. 22—27a.

Do płaszczyka dopasowanego z niewcinanemi plecami i pelerynowemi rękawami, dodany jest kapturek, któren może być długo spuszczony, albo przez ściągnięcie sznurów zmieniony na kapturek okrągły, jaki przedstawia rycina 29. Plecy przody i rękaw pelerynowy, podane na Fig. 22—24, trzeba podług podanej miary, przedłużyć i rozszerzyć, w sposób wskazany na zmniejszonym rysunku, Fig. 22—27a. Peleryna tworząca rękawy krajana jest w jednym ciągu z wykładem przednim; pod brzegi przednie przed wyłożeniem podszywa się listewki 16 c. szerokie następnie odwija, obrabia dziurki i zapina na guziki przyszyte do peleryny. U dołu peleryny dana listewka 10 cent. szeroka przestębnowana kilkakrotnie w równych odstępach. Zeszywając płaszczyk pelerynkę wpuszcza się od a—b w szew łączący przody z plecami, dalej od b—c przyszywa się tylko do pleców, a od c znów wchodzi w szew. Wykrój pachy (Fig. 22 od b — c,) szwy i dolny brzeg płaszczyka są wązko zaobrąbione. Wzdłuż przodów podszyte listewki 6 cent. szerokie; u dołu pleców dana patka 52 cent. długa, $5^1/_2$ szeroka, krajana z podwójnie złożonego materyału i obstębnowana z brzegów. Przedstawiony kapturek na ryc. 29 krajany podług Fig. 25 podszyty materyą Faille na brzegi z boków i u dołu wązko pod spód podwinięte i zastębnowane; jak szeroko trzeba go z boków włożyć wskazuje linja na Fig. 25. U dołu utrzymuje kapturek patka Fig. 26 zapięta na guzik przyszyty podług Fig. 25; dziurki do przewleczenia sznura z kwastami są oznaczone na Fig. 25.



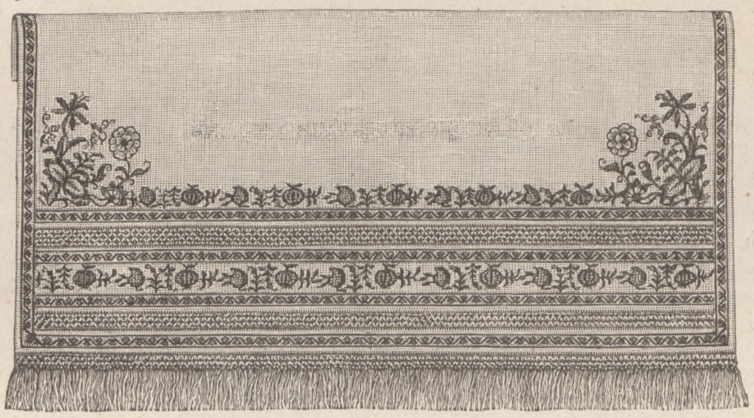
N. 1. Suknia ze stanikiem z baskiną i spódnicą z upięciem. Patrz rycina 2 i ryc. 7 w N-rze 40. Krój Nr I, Fig. 1 — 14.



N. 3. Napierśnik. Krój na arkuszu Nr VI, Fig. 32 — 32a.



N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną i spódnicą z upięciem. Patrz ryc. 1.



N. 4. Serweta na bufet. Wyszycie krzyżykowe i kratka ażurowa. Deseń na ark. Fig. 37a i b.



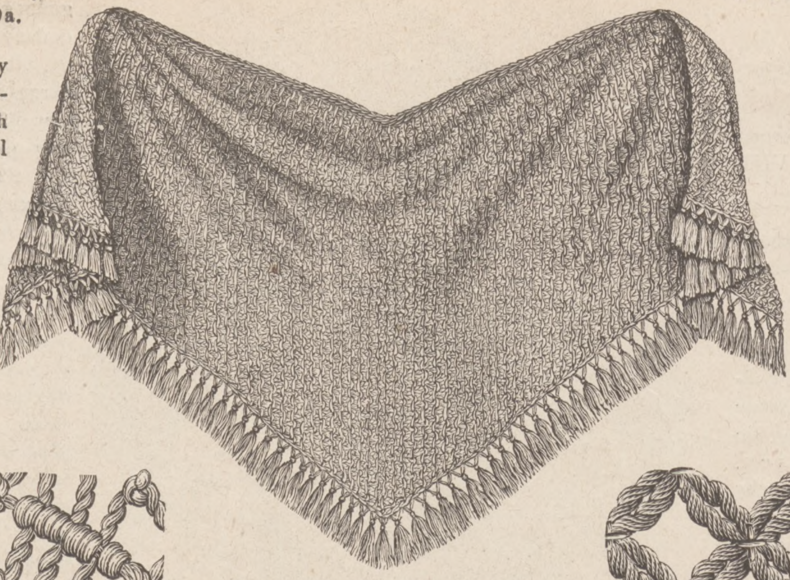
N. 5. Sukieneczka princesse z dwojakiego materyału dla dziewczynki. N. 6. Suknia z vetement dla panienki lat 10—12. N. 7 i 8. Suknia z vetement. Krój na arkuszu Nr VIII, Fig. 38 — 46.

N. 14—17. Płaszczyk jesienny z kołnierzem pelerynowym. Krój na arkuszu N. XI, Fig. 54—59a.

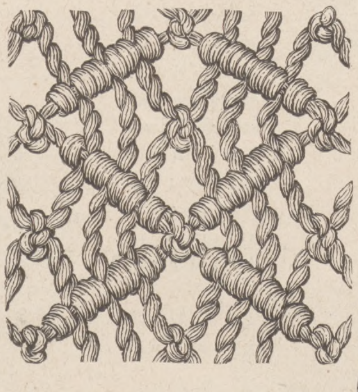
Wcinane plecy, poniżej stanu założone w fałdy zachodzące pod spód, czynią ten płaszczyk odpowiedniejszym dla osób młodszych niż opisywany poprzednio. Model był z piaskowego szewiotu w drobną kratkę; przody i plecy fig. 54 do 59 trzeba dopełnić podług miar wskazanych; maleńki format kroju objaśnia jak zestawić wszystkie części. Najpierw obie połowy rękawów fig. 56 — 57 zszywają się od *d* — *e*, poczem zwierzchnia część obszywa się szeroką plisą z tego samego materyału, wywiniętą na wierzch i kilkakrotnie zastębnowaną, szerokość plisy odznaczona linją na fig. 56 — 57. Przody i plecy fig. 54 — 55 zszyte są od *a* do *b* i od *c* do dołu, pacha od gwiazdki do *c* jest zaobrąbiona a rękaw wszywa się od gwiazdki do *f* e i b, kawałek rękawa zostający przy f wchodzi w fałdę złożoną między *c* i *f*. Spodnią połowę rękawa podszywa się pod zwierzchnią od krzyżyka do punktu.



N. 9. Kratka do spajania odpowiednia do ryciny 16 w N. 40.



N. 11. Chustka robiona na drutach. Patrz rycina 22.

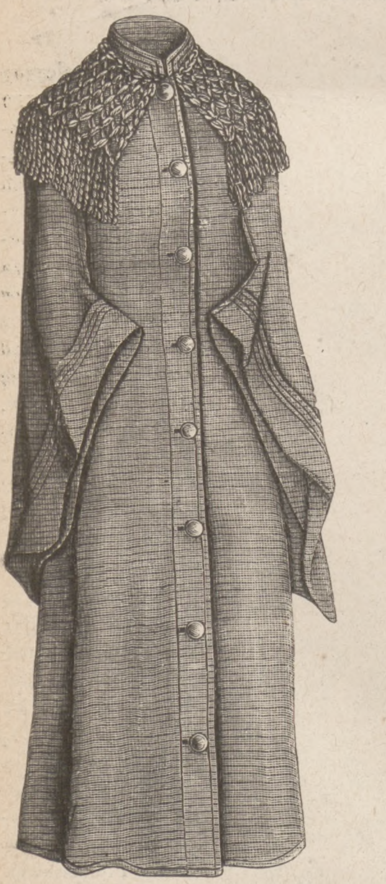


N. 14. Robota wiązana na kołnierz pelerynowy do ryciny 17.

Kołnierz pelerynowy wykonany robotą w ramach, ze sznureczka wełnianego średniej grubości, podług próbki r. c. 16; na ryc. 14 widzimy inny wzór roboty wiązanej macramé również odpowiedniej na kołnierz.

N. 23—24. Paletocik z podwójnym kołnierzem. Krój kołnierza na arkuszu Fig. 66 Nr XIV.

Paletocik dla małej dziewczynki przykroić można podług formy danej przy ryciny 3 w N. 23. Przody zachodzą u dołu na plecy nakształt patek, podwójny wykład na rękawach odpowiada podwójnemu kołnierzowi na który forma załącza fig. 66. Model był z jasno piaskowej flanelki ozdobiony rzędami stębnówki i guzikami.



N. 16. Płaszczyk z pelerynowym kołnierzem. Patrz ryc. 14—17. Krój Nr XI, Fig. 54—59a.

N. 25. Drzwi do szafki wiszącej. Malowanie na szkle. Deseń patrz Fig. 70.

Malowanie na szkle opisywaliśmy kilkakrotnie, ale jest to robota przy której konieczna nauka — opis niedostateczny. Dla osób umiejących malować załączamy na fig. 70 deseń ramki danej na około fotografii podklejonej od spodu. Użyta do tego fotografja musi być nie podklejona sztywnym papierem.



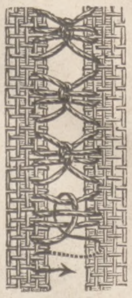
N. 12 i 13. Płaszczyk z kapturkiem. Patrz kapturek na rycinie 29.



N. 18 i 19. Mieszek z malowaniem na drzewie.

N. 26. Woreczek do pieniędzy. Wyszycie z perełek i robota szydełkowa.

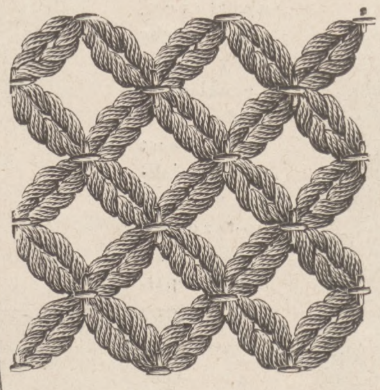
Deseń z perełek białych i popielatych wyszyty jest na cieniutkiej kanwie której brzegi po skończeniu wyszycia podkładają się w około pod spód, mocno podszywają i dopiero zaczyna się obrobienie szydełkowe, z oczek &c. przybierając odpowiednio do okręgu. U góry dane obrobienie ze słupkow, do którego przyszywa się okucie mosiężne.



N. 10. Kratka do spajania odpowiednia do ryciny 16 w N. 40.

N. 27 i 37 — 38, **Woreczek** Pompadeur.

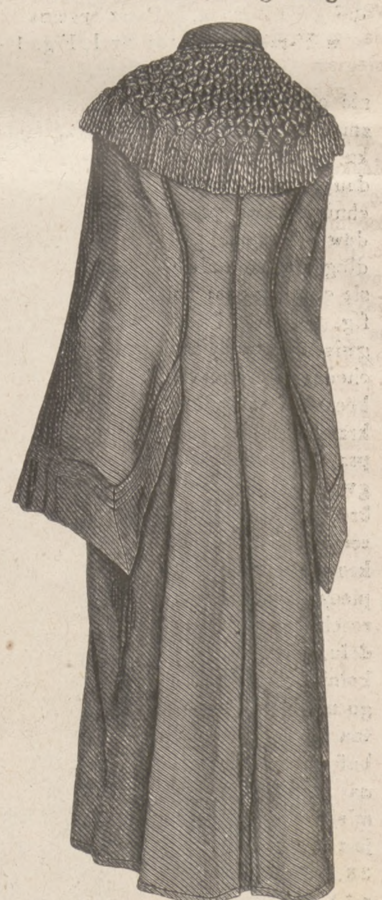
Szyje go się z czarnego, białego lub kolorowego atłasu, na podszewce jedwabnej i służyć może do robót lub do zawieszenia przy pasku; wymaga kawałka 37 cent. długiego, w środku 18 w końcach 14 centym. szerokiego, zwierzchnie pokrycie fałdowane kraje się o 20 centym. dłużej. Riusza z materyi otacza brzegi. Szlaczki wyszyte są krzyżykami na czarnej aksamitce.



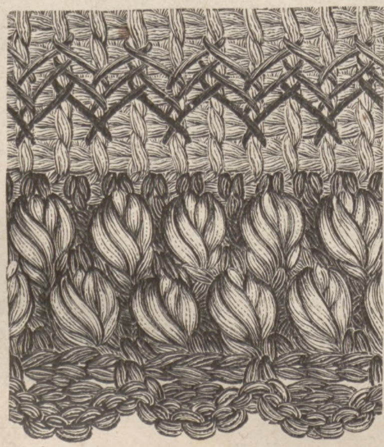
N. 15. Robota w ramach na kołnierz do ryc. 17.

N. 28. Kapturek z patkami. Krój na arkuszu N. III Fig. 18—21.

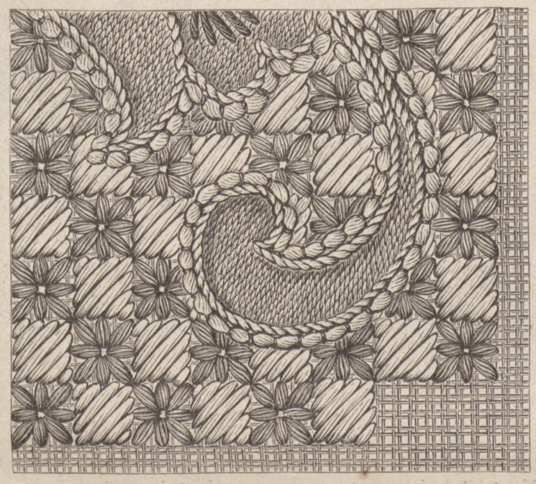
Kapturki obecnie bardzo są modne przy okryciach, robią je różnym fasonem; ten jaki przedstawia ryc. 28 odpowiednim jest do płaszczyków paletotów lub okryć do teatru czy na koncert, a można nawet zarzucić go na głowę; w takim razie odpina się patki dane z tyłu i po włożeniu kapturka zapina się go z przodu. Model był podszyty materyą faille w drobne paseczki, pod patki trzeba sztywnego muślinu. Fig. 18 i 19 zeszyte są od Y do Z, dalej zszywa się kapturek środkiem od gwiazdki do dwukropka, po czem brzegi boczne wywijają się podług linii wykładu, przy szyi składając krzyżykiem do krzyżyka. U dołu wykładu przyszyte są podług fig. 18 dwa guziki, powyżej których brzeg rozłożony w dwie kontrafałdy przypina się z boków. Kontrafałdy zamocowane 3 centym. poniżej brzegu przyciśnięte są dwoma patkami (fig. 20 — 21) podług ryc. 28, przeciągniętemi przez przecięcie dane na środku. Wykrój szyi wszyty w pasek 3 cent. szeroki.



N. 17. Płaszczyk z pelerynowym kołnierzem. Patrz ryc. 16.



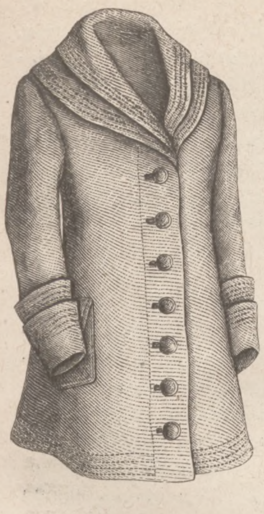
N. 20. Brzeg szydełkowy do ryc. 12 N. 13.



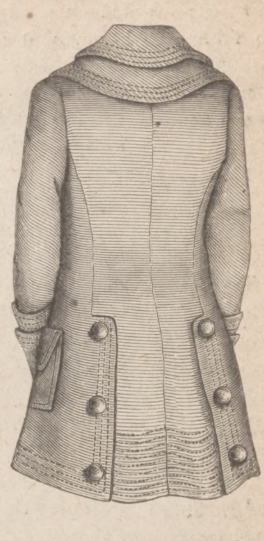
N. 21. Część wyszycia do ryc. 10 w N. 40.



N. 22. Robota na drutach do ryc. 11.



N. 23. Paletocik z podwójnym kołnierzem dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 24. Krój paletota jak do ryciny 3 w N-rze 23. Krój kołnierza Nr XIV, fig. 66.



N. 24. Paletocik z podwójnym kołnierzem. Patrz ryc. 23.

N. 30—31. Rękawy do sukien.

Rycina 30 przedstawia rękaw z atlasu deseniowego (satin imprimé) zakończony wysokim obcisłym mankietem aksamitnym, zapiętym wzdłuż na guziki i ozdobionym trzema wykładami atłasowémi.

Na ryc. 31 widzimy wązki rękaw z materyału w paski, z oryginalną bufą wpuszczoną na łokciu i z drobnem bufowaniem u ręki, dodanem z gładkiego atłasu.



N. 26. Woreczek do pieniędzy.



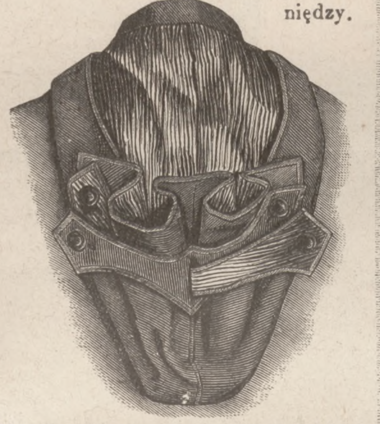
N. 25. Drzwiczki do szafki wiszącej.



N. 27. Woreczek Pompadour, do robót ryc. 37 do ryc. 38.

N. 34. Czwarta część kwadratu robotą naszywaną na siatce.

Zamiast grosbotowego tiulu, muślinu, batystu lub t. p. materyałów używanych dotychczas na tło pod ażurowe hafty dziergane, wchodzi obecnie w użycie siatka z nici piaskowych wyszyty następnie ściegiem zwanym point d'esprit surowym jedwabiem. Aplikacya wycięta z fularu przydziergana jest w około brzegów deseniu trochę ciemniejszym kordonkowym jedwabiem. Tło siatkowe przygotowane w odpowiedniej wielkości rozciąga się mocno i przyfastrygowywa na ceracie, następnie naszywa się materyał służący na aplikacyę na którym poprzednio trzeba narysować deseń. Odzierguјąc brzegi deseniu i dodając gałązki i muszki ściegiem płaskim trzeba zajmować za siatkę. Wyciąwszy materyał zbywający po za deseniem, trzeba na tle siatkowem dać wyszycie.



N. 28. Kapturek przepięty patkami. Krój Nr III, fig. 18—21.



N. 32. Serweta. Naszycie aplikowane na siatce ściegiem dzierganym. Deseń fig. 68-69.

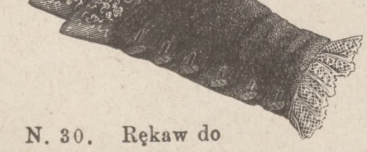


N. 29. Kapturek związany sznurem do rycina 12 i 13. Krój Nr IV, F. 25.

N. 32-33. Serweta. Naszywanie na siatce ściegiem dzierganym.

Materyał: nici piaskowe na siatkę, fular piaskowy na naszycie, kordonek żółtawo piaskowy na ścieg dziergany; dwunitkowy surowy jedwab do wyszywania siatki i na wiązanie zwierzchnie na frendzli, cienka nitka złota. Deseń na arkuszu z krojami fig. 68—69. Wypisanie szczegółowe materyału, a przedewszystkiem także ryc. 27 przedstawiająca część kwadratu tąż samą robotą ułatwia wykonanie serwety ryc. 32 liczącej w kwadrat 63 cent. bez frendzli. Wiązanie frendzli brzeżnej objaśnia ryc. 33 potrzeba około brzegów serwety pozostawić dwie gładkie kratki w siatce, na których dane są pajączki a niżej nawiązywana zwierzchnia warstwa frendzli.

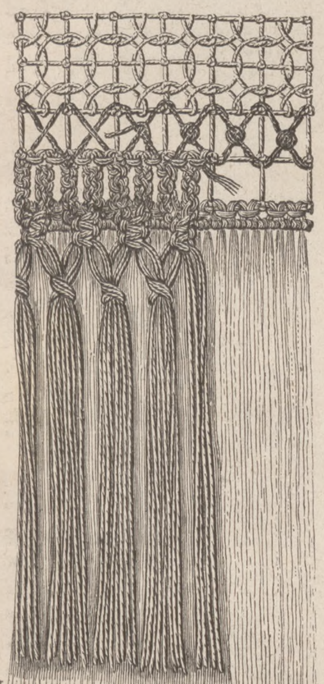
Pajączki wywodzone są nitką złotą. Deseń wyszywa się w sposób wskazany na ryc 34 ściegiem dzierganym, wycięty jest z fularu piaskowego.



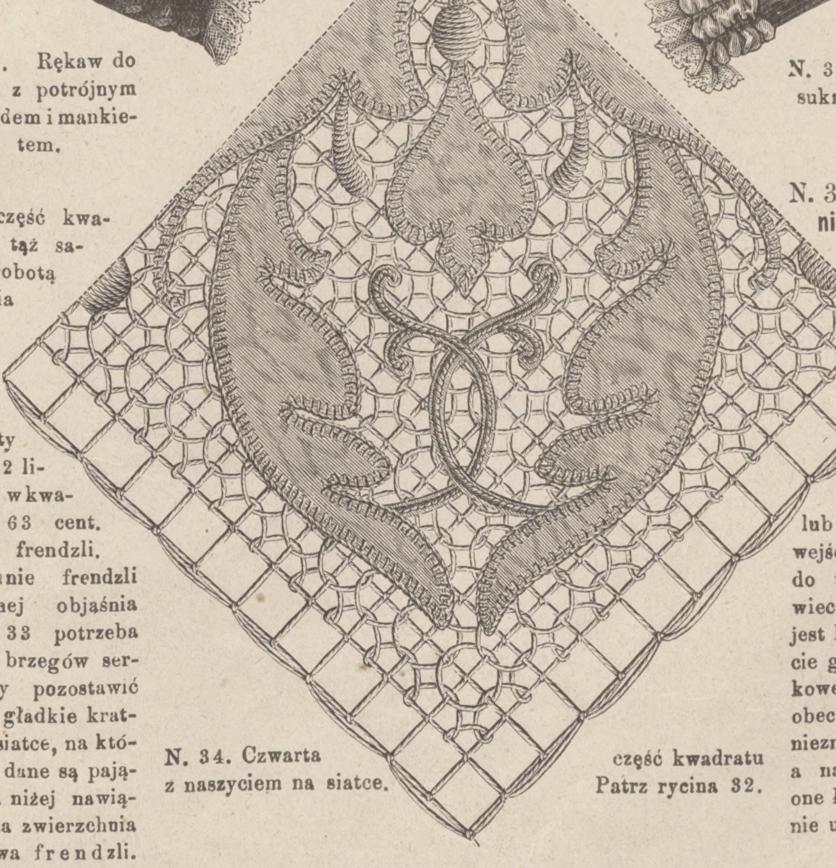
N. 30. Rękaw do sukni z potrójnym wykładem i mankietem.



N. 31. Rękaw do sukni zdobny bufami.



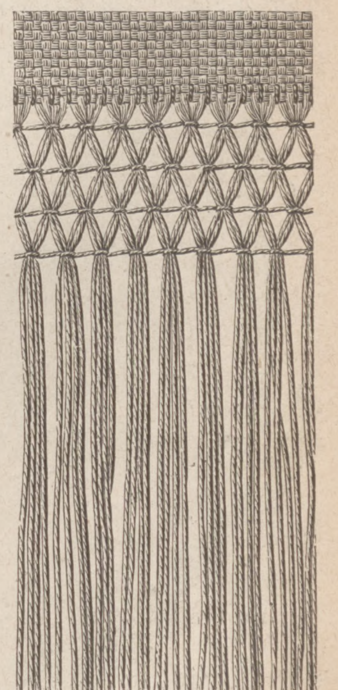
N. 33. Frendzla wiązana do ryc. 32.



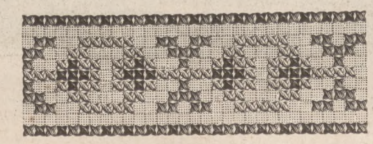
N. 34. Czwarta część kwadratu z naszyciem na siatce. Patrz rycina 32.

N. 39—40. Ubranie z kapturkiem koronkowym. Wskazanie kroju na arkuszu N. VII Fig. 33.

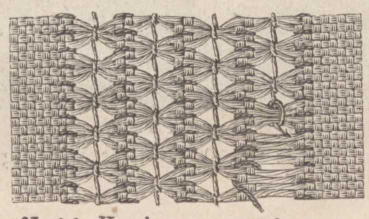
Jadąc koleją lub powozem, przy wejściu na koncert do teatru lub na wieczory, niezbędne jest lekkie przykrycie głowy. Koronkowe kapturki są obecnie na ten cel niezmiernie modne, a nawet stanowią one ładne dopełnienie ubrania wizytowego dla osób starszych, lub spacerowego dla młodszych. Fig. 33 ułatwia krój kapturka z czarnego koronkowego tiulu którego brzeg górny zmarszczony do dwukropka wszyty jest w atłaso-



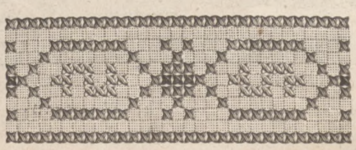
N. 35. Frendzla do ryc. 4.



N. 37. Szlaczek krzyżykowy do r. 27.



N. 36. Kratka ażurowa do r. 4.



N. 38. Szlaczek krzyżykowy do r. 27.

wy pasek 43 cent. szeroki; brzeg dolny podług krzyżyków i kropek złożony w fałdy ozdobiony jest wachlarzowo fałdowaną koronką 6 cent. szeroką. Takaż koronka naszyta w półkole z przodu na wierzchu kapturka, przepięta sutą kokardą z wstążki atłasowej 4 cent szerokiej. Końce przewiązane lub z boku spięte kwiatami są z koronki i wszywki 3 cent. szerokiej i liczą 85 centym. długości a 14. szerokości.

N. 41. Kołnierz Colbert i mankiety.

Tego rodzaju kołnierz i mankiety zakładane na wierzch rękawów, do sukien perkalowych lub wełnianych noszą się płócienne a do strojnych sukien z crepe de chine z koronką lub plisowaniem. Na spięciu duża kokarda z kwiatami lub bez.

N. 42. Suknia z draperyą z chustki koronkowej. Patrz Fig. 67.

Ubranie to odpowiednie do lekkiej żałoby, może być formą princesse lub z długim stanikiem, odrobione z czarnej czy ciemno popielatej jedwabnej materyi. Fig. 67 na arkuszu z krojami przedstawia całość ubrania z tyłu. Draperya tunikowa upięta jest z dużej trujkątnej koronkowej chustki obracając takową tylnym środkowym końcem na przód i przyczepiając na sukni, końce zaś z boków wysoko podpięte przeprowadzone są do tyłu i złączone pod sutą kokardą. Pod kokardą przytwierdzony jest oddzielny bryt z deseniowego tiulu, spadający na tren sukni. U dołu sukni koronka lub plisowanie z materyi. Przybranie stanika składa się z długiej trójkątnej chustki i koronki chantilly 125 centym. długiej, w środku 50 cent. szerokiej, włożonej podług ryc. 42. Na grubym jedwabnym sznurze z lewego boku zawieszona jest kieszonka Pompadour albo Ridicule zwana, uszyta z czarnego jedwabnego repsu i ozdobiona bogatą frendzlą.

(*d. n.*)



N. 39—40. Ubranie z koronkowym kapturkiem. Krój Nr Fig. 33. N. 43. Ubranie z szalikiem jedwabnym. N. 41. Kołnierzyk „Colbert“ i mankietki. N. 44. Płaszczyk z kapturkiem. Patrz rycina 1 w N-rze 40. Krój Nr XII, Fig. 60—64a. N. 42. Suknia z draperyą z chustki koronkowej. Patrz Fig. 67 na arkuszu z krojami.